

A photograph of a snow-covered mountain peak. In the foreground, a wooden cross is partially buried in the snow. Attached to the cross is a yellow sign with black text. The sign reads "Jarzębca Wierch" and "2161 m". Below this, there is a smaller yellow sign with a red and white striped square and the text "KONTAKT" and "KONTAKT". The background shows a vast, snowy mountain range under a bright sky. The sun is visible in the upper right corner, creating a strong glare. The overall scene is a high-altitude, snowy landscape.

Słowo od redaktora

Droży Czytelnicy! Mamy przyjemność oddać w Wasze ręce pierwszy numer odrodzonego organu prasowego Studenckiego Klubu Górskiego. Wracamy po kilku latach przerwy w nowej formie i składzie oraz pod zmienionym tytułem. Staraniem całej ekipy redakcyjnej oraz osób występujących gościnnie zamierzamy trzy razy do roku, w lutym, maju i październiku, wydawać kolejne numery Biuletynu Studenckiego Klubu Górskiego. Przybierze on formę internetową, ale będzie go można dostać do rąk także w wersji tradycyjnej. Tworząc Biuletyn będziemy czerpać z dorobku naszych poprzedników w sposób twórczy, tak by był on interesującą lekturą nie tylko dla uczestników życia klubowego, ale także odbiorcy zewnętrznego. Jesteśmy otwarci na wszelkie nowe pomysły i ludzi oraz konstruktywne uwagi, do których zachęamy wszystkich naszych czytelników.

W tym numerze znajdziecie między innymi wywiad z koryfeuszem polskiej turystyki - Andrzejem Wielochą, opis fajnej miejscówki na Krymie, pomysł na ciekawą trasę w prawdopodobnie najmniej znanych w Polsce górach i oczywiście relacje, wśród których znajdują się dwa nieco starsze, nigdy nieopublikowane teksty Michała Bekeya i Adama Cieślika.

Pozostałe artykuły są *wyjęte prosto z piekarnika* przez zespół redakcyjny w składzie:

- Grzegorz Kaczmarek – Redaktor Naczelny
- Stefania Ambroziak – Zastępczyni Redaktora
- Grzegorz Bokota
- Julia Czerniuk
- Damian Dąbrowski
- Agata Korzeniewska
- Stanisław Mierzwiak
- Ewelina Różańska
- Józefina Świącicka
- Michał Wangrat

Wystąpili gościnnie, mam nadzieję, że nie po raz ostatni: ;-)

- Michał Bekey
- Adam Cieślik
- Paweł Nowakowski
- Maciej Szuba

Na koniec chciałbym podziękować:

- Gosi Kuczerze za opracowanie loga Biuletynu
- Magdzie Bojarskiej za roztropne uwagi techniczne i merytoryczne
- Adamowi Cieślikowi za udostępnienie zdjęć
- Pawłowi Marciniakowi za konsultacje i przekazanie cennych materiałów



Artykuły

Z Życia Klubu	4
Kalendarium	4
Kraken, gender, łojanci i sztuka wypoczynku	5
Jasełka XXXIII Kursu	9
Z pamiętnika kursanta	10
Z pamiętnika kursanta XXXIII KPG	10
Mokre buty, fauny i znikająca kielbasa	12
Zaspy naszym domem, czyli zima w Beskidzie Niskim	17
Najgorsze chwile Michała B. podczas XXVIII Kursu Przewodników Górskich	23
SKG na świecie	24
Miskowców Groń Hardcore Winter Expedition	24
Jak to drzewiej bywało	27
Rysunkowa relacja z walnego 1988	27
Cytaty i Fakty	28
Ludzie gór	29
Zygmunt Kaczkowski	29
W cztery oczy	30
Pierwsze przejście łąkiem Karpat	30
Czy wiecie, że...	33
U Envera i Lenmary	33
W odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie	34
Trasy nie tylko na wczasy	35
Najdziksze Góry Polski	35
Z szuflady wagabundy	36
Piosenka z przeszłości	36
Perła Skryta w Mule	37
Kącik literacki	38
Baniak i Puszek	38
Porta Rusica	39

5-7

Kalendarium

Ewelina Różańska

Wraz z nadejściem października i rozpoczęciem nowego roku akademickiego, powiedzmy że nasyceni wakacjami, górami i podróżami (choć tych nigdy dość), SKG pełną parą ruszyło do pracy. Klubowa krzątania nabrała dużego rozmachu, aż miło było popatrzeć. A było to tak:

Tak jak Ziemia krąży wokół Słońca, tak centrum życia SKG stanowi Kurs Przewodników Górskich (tzw. układ kursocentryczny). By ów model wprowadzić w ruch, należało skutecznie zachęcić studentów (i nie tylko) do XXXIII KPG. Dlatego między **1 a 7 października** przy bramie głównej UW w **Kiosku SKG** Józia, Maluch, Grzesiek K. i inni, z nową kierowniczką Kursu na czele, czyli Pauliną Kocot, propagowali Klub i jego działalność.

Złotą polską jesień przypadło nam podziwiać w weekend **12 – 13.10** w Pieninach i Beskidzie Sądeckim. Podczas **Rajdu Jesiennego** 4 grupy były prowadzone przez przewodników-praktykantów: Maję Stelmach, Maćka Szubę, Adam Cieślaka i Michała Plutę. Ześrodkowanie w schronisku na Durbaszce nie obyło się oczywiście bez śpiewu, gitary, konkursów i grzańca z gara.

Dwa kolejne weekendy (**19-20 i 26-27.10**) odbyły się pod znakiem **Manewrów Nizinnych**, tradycyjnie już w miejscowości Dalekie-Tartak. Pierwszemu terminowi szefowała Gosia Kuczera i Adam Cieślak, drugiemu natomiast Maćków dwóch, czyli M. Szuba i M. Warchałowski. Tym razem śnieg nie przyprószył, za to jak grzyby po deszczu (którego nie zabrakło) z lasu wyłonili się nowi kursanci.

Październik to także czas odnowienia cośrodkowych spotkań z podróżnikami na **slajdowiskach w Starym BU-Wie**. Do tej pory byliśmy już dwa razy w Norwegii i Indochinach, poza tym odwiedziliśmy Gwatemalę, Himalaje, Szkocję, świętą Górę Athos, Syberię oraz Kirgistan. Gościem szczególnym był wybitny alpinista, ratownik TOPRu, przewodnik tatrzański oraz pisarz i poeta – Michał Jagiełło oraz dwukrotny zdobywca Łuku Karpat – Łukasz Supergan.

Listopad jednoznacznie kojarzy się z okresem przełomowym w życiu każdego Kursanta wstępującego w szeregi SKG. „Kurs zmienia”, jak mawiają naznaczeni. W **środe 6.11** oficjalnie przywitaliśmy świeżych Kursantów na **pierwszym wykładzie**. Od tego czasu cykl życia dyktowały cośrodkowe spotkania na wykładach, po nich piwo w Norze, Eufemii lub Grawitacji i nieodzowne **kursówki!** Do połowy grudnia Kursanty odkrywały uroki wyjazdów kursowych pod przewodnictwem niezastąpionych instruktorów. Długi weekend **9-11.11** i święto Niepodległości Kursanci spędzali z Michałem Bekeyem w Beskidzie Żywieckim. Kolejny weekend (**16-17.11**) to wypad w Beskid Niski i szkolenie Michała „Strzelca” Strzelczyka. Trzecia kursówka (**23-24.11**) przypadła również w najniższy z Beskidów, tym razem w okolicach Grybowa pod okiem Jędrka Ochremniaka. Między **29.11 a 1.12** Gosia Szczepanek poprowadziła kursówkę w Gorcach, a tydzień później – **7-8.12** - Paweł Górecki i Michał Pluta wysłali kursantów w Beskid Niski (w końcu do trzech razy sztuka). W prze-

ciwieństwie do Rajdu Mikołajkowego, im porywczy Ksawery Orkan nie pokrzyżował planów. Przedświątecznego klimatu dopełniła ostatnia kursówka w Gorce wraz z Ewą Janczarek i Pawłem Marciniakiem (**14-15.12**).

W międzyczasie na kartach kalendarza pojawił się **wtorek 26 listopada**, który można uznać za historyczny dzień w życiu Klubu. Wieczorową porą w Sztabie Głównym (tj. siedzibie w sali 210) głównodowodzący Grzesiek Kaczmarek na nowo powołał do życia **Biuletyn SKG**. Niczym feniks z popiołów, dzięki wspólnym chęciom i zaangażowaniu kilku osób nastąpiła Reaktywacja!!! Grzesiek przyczynił się także do udostępnienia materiałów archiwalnych Klubu, które w wersji cyfrowej można śmiało obejrzeć na stronie.

Potem przyszedł czas na **Rajd Mikołajkowy (7-8.12)**, który z powodu szalejącego po Europie bez opamiętania orkana Ksawerego się... nie odbył. Ale co się odwlecze, niekoniecznie musi przeminąć bezpowrotnie, dlatego termin wyjazdu w Beskid Żywiecki przełożono na weekend **11-12.01**, a sam rajd poświęcono pamięci Ksawerego Orkana. Szlakiem *Ossobliwości przyrodniczych* poprowadził Maciek Warchałowski, jak wędrować po górach *Do góry nogami* demonstrowała Gosia Kuczera, a Adam Cieślak zaprezentował, czy *Yeti w zimowej szacie* jest rzeczywiście białą.

11.12 odbyło się żywe i pełne dyskusji **Walne Zebranie Członków**, podczas którego podziękowano za miniony rok staremu **Zarządowi**, a powołano do życia nowy, „świeżą krew” zasilony przez Grażynę Chlebicką sprawującą funkcję prezesa, Jędrka Witkowskiego jako wiceprezesa ds. turystycznych, Ewelinę Różańską w roli skarbnika, Maję Stelmach – sekretarza oraz Gosię Staroń i Olę Nowaczyńską. Została wyłoniona również nowa **Komisja Szkoleń** z Martą Cobel-Tokarską na czele wraz z Gosią Szczepanek, Michałem Bekeyem i Przemkiem Witrowym.

Tydzień później **18.12** panowała już nie polityczna, a przedświąteczna atmosfera **Wigilii Klubowej**. Blasku i – za przeproszeniem – kupy śmiechu przyniosły jej Kursanty, które dały popis swoich artystycznych talentów i zaprezentowały Jasełka w konwencji iście kursówkowej z Michałem Plutą w roli Jezuska – zresztą przeczytajcie sami (str. 9) – myślę, że do tego nie potrzeba dodatkowej zachęty! ;-)

Święta Bożego Narodzenia minęły w okamgnieniu i leżąc co zdążyliśmy zaczerpnąć błęgiego domowego spokoju, a już 27 grudnia pociąg odjeżdżał do Zakopanego! Pociąg pełen spragnionych zimowych Tatr i świetnej zabawy sylwestrowej **uczestników wyjazdu sylwestrowego w dniach 27.12 – 1.01.2014** (więcej o tym na str. 5-8).

Górski Klub Matrymonialny może poszczycić się kolejnym w dziejach złączeniem węzłem małżeńskim „górskiej pary” – w mroźne sobotnie popołudnie 25 stycznia w Świętej Lipce na Mazurach ślub wzięła nasza Klubowiczka Gabrysia Klimowicz oraz Bartek Orłowski.

Natomiast z dniem **29 stycznia** wznowiona została działalność **Biblioteki Klubowej**. Dzięki uprzejmości pań bibliotekarek z Wydziału Historycznego książki zosta-

ły poddane procesowi katalogizacji. Tak więc *bezwzględny zakaz wypożyczania książek* odszedł do lamusa, a zasobna baza szeroko rozumianej literatury górskiej i podróżniczej jest do naszej dyspozycji i czeka na swoje odkrycie.

1-2 lutego – rajd na Pogórze Ciężkowickie Michała Pluty.

Ważnym wydarzeniem w dziejach Klubu na przestrzeni ostatnich miesięcy była **Zimówka w dniach 8-16.02** tradycyjnie już w Beskidzie Niskim, organizowana przez niebywałą liczbę przewodników! Oprócz instruktorów – Michała Strzelca i Pawła Marciniaka przybyła także czwórka instruktorów-praktykantów – Grażyna Chlebicka, Gosia

Staroń, Adam Cieślak i Maciek Szuba, niezrażonych nową postacią zimówki, która w tym roku przerodziła się w... deszczówkę.

A w ostatni weekend lutego (**22-23.02**) Maciek Warchałowski poprowadził rajd w *Gorce na zimowo*, zastrzegając, że może nie być do końca zimowo, jakbyśmy tego oczekiwali w lutym oraz że zabawy na śniegu, równie dobrze sprawdzają się na trawie ☺.

1 marca, Karnawałówką przebieganą w iście włoskim stylu Ciao Italia rozpoczynamy wiosnę i nowy etap w klubowym kalendarium! ■

Kraken, gender, łojanci i sztuka wypoczynku

czyli sylwester SKG 2013/2014

Ewelina Różańska

Tegoroczny Sylwester SKG był naprawdę wystrzałowy. Deklaruję to zarówno z punktu widzenia organizatora – a raczej organizator*ki* i – bądźmy konsekwentni – uczestnicz*ki*, bo na wyjeździe obowiązywała nas zainicjowana przez Magdę Czarnecką między 3 a 4 w nocy w pociągu relacji Warszawa – Zakopane, praktyka ideologii gender. Od 27 grudnia do 1 stycznia rozbiliśmy bazę w domu rekolekcyjnym księży Werbistów w Zakopanem, położonym w zasięgu kilku minut marszu i w góry i na Krupówki. Ojciec Jan, którego, tak na marginesie, numer telefonu rozpoczynał się od znamiennej zestawienia numerycznego 666, przygarnął 50-kilkuosobową grupę (bo rotacje i migracje trwały non stop) pozytywnie zakręconych ludzi, pod swój nieco przeciekający dach.



Dzień przed przyjazdem zadzwonił do mnie z informacją, że hałny zerwał część dachu akurat nad pokojem, w którym mieliśmy spać, więc zasugerował, żebyśmy ustawili się, że nie będzie tak sucho i ciepło, jakbyśmy tego oczekiwali. Na szczęście w piątek z samego rana ekipa naprawcza przystąpiła do misji łatania dachu, zakończonej oczywiście sukcesem. A dom był ogromniasty! Mieszkał w nim jednak tylko kapłan i Kraken, czyli jego gosposia – strasznie nieprzyjemna babka, ale o niej później.

Rozlokowaliśmy się w kilku pokojach – księciu odgórnie wprowadził system podziału płci. Chociaż dziewczyn było więcej, ale oczywiście to chłopaki stali się jego faworytami i to im przydzielił przestronny, dobrze oświetlony po-

kój, w którego zabudowanych po sufit szafach skrywały się kielichy, księgi i wszelkie akcesoria mszalne, a na półkach leżały grzecznie kapłańskie szaty i afrykańskie wdzianka z misji, w które następnie wystroili się na imprezę sylwestrową Michały B. i P. – jednak na tej profanacji zaprzestali swojej przygody z kapłaństwem.

Dziewczynom i grupom mieszanym przypadło w udziale spore poddasze zajmujące dwa obszerne pokoje i „stryzek” z materacami, który – jak się zdawało – mógł pomieścić nieskończoną liczbę osób. Ocieranie się o siebie wśród porozrzucanych na wszystkie strony gratów i piętrowych łóżek było nieodzownym rytuałem o każdej porze dnia i nocy i niezwykle sprzyjało integracji. Szczególnie, że salka kominkowa, w której – wyobrażałam sobie – będziemy spędzać wieczory przy dźwiękach gitary w oparach grzańca, okazała się... salką ołtarzową, gdzie ze ścian spoglądali na nas surowym, strofującym wzrokiem święci-misjonarze. Nie mam pojęcia, jakim sposobem udało się chłopakom i Marcie M. pierwszego wieczoru grać tam w pokera! Mieli farta, bo w podobnych, równie „nagannych” sytuacjach nie dało się uniknąć bliższego spotkania z mackami Krakena!



Kim był ów *Kraken*? Jak już wspomniałam, to gospodynin ojca Jana, babka około pięćdziesiątki, wyraźnie niezadowolona z chaosu, jaki zapanował w jej spokojnym, stabilnym życiu po naszym najeździe. Na jej nieszczęście jej pokój znajdował się przez ścianę z kuchnią, w której – co tu kryć – panuje zawsze wesoła i gwarna atmosfera ;)



Cisza nocna wyznaczona została między 22:15 a 6 rano. Jednak ten przedział czasowy był nam wyjątkowo nie na rękę. Ledwo co gwiazdy pokazały się na niebie, a nam już karzą się wynosić do pokojów? Co to, to nie! Wspólna kuchnia jest po to, żeby siedzieć w niej tak długo, dopóki wszystko nie zostanie zjedzone, wypite i dokładnie omówione. Hej!



Jeszcze gorzej przychodziło Krakenowi znosić poranki, bo niektórzy z uczestników dzień zaczynali już w środku nocy, czyli około 3 – 4. Jak coś nie łupnie w kuchni, jak nie spadnie szklanka, jak czajnik się nie załączy. Matko kochana! Dla Krakena to było istne bombardowanie! A przecież na kilkanaście godzin w góry nie wychodzi się bez śniadania, herbaty w termosie i kanapek na drogę. Niestety twarde jak skała serce Krakena tego nie rozumiało i ustawicznie napadał nas, niewinnych, oblapując mackami, paraliżując przeszywającym wzrokiem. Do szwskiej pasji doprowadzał ją widok niewysuszonych i nieodstawionych na miejsce szklanek i talerzy, a kilka nieumytych naczyń spoczywających na dnie zlewu mało co nie doprowadzało ją do zawału. Aż w końcu nie wytrzymała i zostawiła na stole kartkę: *Zostawiacie po sobie brud i bałagan. Macie po sobie sprzątnąć!* W Nowym Roku powitała nas równie urzekającym tekstem w stylu *nie wyjedziecie, dopóki nie posprzątaacie tego bałaganu!*, czyli nie włożycie naczyń do szafek. . . Mimo to znaleźli się odważni, którzy zdecydowali się zostać jeszcze kilka dni w domu rekolekcyjnym, żeby powędrować po Tatrach. Jak widać cel uświęca środki.



Zapewne ciekawi Was, co my tam w ogóle robiliśmy przez te ostatnie dni starego roku. Otóż najróżniejsze rzeczy. Łączyliśmy się w kilkunastoosobowe zespoły i ruszaliśmy w góry. Byli zdobywcy-hardkorzy, którzy narażając się na święte oburzenie Krakena, wstawali w środku nocy i wyposażeni w czekany i raki, dzień w dzień niestrudzenie wyruszali na kilkanaście godzin w Tatry, by z dumą zatykać na szczytach Giewontu, Rysów i Czerwonych Wierchów flagę SKG. Ci budzili największy podziw. Byli – poprzez swoją działalność szczególnie upodobani przez autorkę dzięki idealnie dobranym proporcjom wysiłku fizycznego, kontaktu z przyrodą i interakcjom interpersonalnym – zawodnicy uprawiający tzw. sztukę wypoczynku. Z ciężkim sercem, ale nie mogę nie wspomnieć również o w pełni świadomym i napawającym świętokradcą niesłychaną dumą, obrazoburstwie, jakie miało miejsce z przyczyny Grześka Kaczmarka, ukrywającego się pod pseudonimem Samotnego Odyńca. Jest on posądzony o organizację wycieczek w... Gorce, Orawickie Wierchy na Słowacji, na Spisz czy grzbietem pagóra Gubałówki, do czego się otwarcie przyznaje. Mimo, że nasze stopy nie stąpały wtedy po tatrzańskich granitach, dokądkolwiek się nie ruszyliśmy, Tatry i panoramka Pilska, Babiej, Policy, Gorców i Beskidu Sądeckiego nie odstępowały nas na krok. Było piknie!



A jak było w samych górach? Czasem tak, że najwięksi śmiałkowie musieli obejść się ze smakiem i z powodu zbyt silnych wiatrów lub oblodzonych grani atakować szczyty dopiero następnego dnia. Jednak trafiała się także pogoda żyleta. Olśniewające, skąpane w promieniach zimowego słońca ośnieżone granie na tle błękitnego, bezchmurnego nieba, wyglądająca ciekawsko spod kołderki śniegu koso-

drzewina, szumiące potoki i monumentalne świerki w zestawieniu z taką aurą dają poczucie całkowitego oderwania od rzeczywistości. Tym bardziej, kiedy mając szczyt Giewontu tylko dla siebie, naszym wiecznie nienasyconym cudnych widoków oczom ukazał się jedyny w swoim rodzaju spektakl Matki Natury – zachód słońca. A prawdziwa szala szczęścia przelała się, gdy przechodziliśmy obok stadka kozic na odległość nie większą niż 3 metry!



Tatry zimą są niepowtarzalne. Ale ta zima była inna niż wszystkie. Nie dość na tym, że wiele szlaków było otwartych z powodu małej ilości śniegu, to jeszcze nie groziły nam żadne tłumy turystów, którzy niepokieszeni jazdą na stoku topili smutki w piwie w schronisku i nie fatygowali się wleźć nigdzie wyżej. Co my, pragnący zaznać ciszy i spokoju w górach, uznaliśmy za ogromną zaletę. Szkoda tylko, że tak wielkim kosztem. Szarżujący w Wigilię po polskiej stronie Tatr halny wywołał niewyobrażalne spustoszenie. Całe stoki były pokryte przewróconymi niczym zapalki drzewami, potężne świerki wyrwane z korzeniami leżały powalone w dolinach na szlakach, pozrywane dachy zatrzymały się kilkanaście metrów dalej na drzewach. Istna masakra.



Prędzej czy później przyroda powróci do stanu naturalnego, a my tymczasem skończmy już z tymi pesymizmami. Po całym dniu w górach należy się solidny i jak najbardziej zasłużony wypoczynek. A, że w naszych oczach wypoczynek zyskał rangę sztuki, celebrowaliśmy go z należytymi honorami. Posłużę się tu mało górnołotnym, lecz jakże prawdziwym porównaniem jakoby człowiek bez jedzenia był jak samochód bez paliwa – długo nie pociągnie, więc odżywialiśmy się właściwie, wyjadając poświęteczne resztki lub gotując dania kuchni turystycznej – coś jak kur-

sówka pod dachem ☺. Mimo, że zima zastała nas już tylko z nazwy, trzeba było jakoś utrzymywać ciepłość ciała, a nic nie sprzyja temu lepiej niż grzane wino z pomarańczą.

Wieczorami jeździliśmy na łyżwach, koneserzy zakopiańskich ceprostrad spacerowali po Krupówkach, fani *Hobbita* nie przepuścili okazji i wybrali się do kina, inni szusowali na nartach i snowboardach, snuliśmy plany wakacyjnych wypraw, wznosiliśmy toasty za dawno niewidzianych przyjaciół i poznawaliśmy się wzajemnie. A im bardziej byliśmy ze sobą zżyci po wielu przygodach w wyższych i niższych górach, tym bardziej nie mogliśmy się już doczekać imprezy sylwestrowej!

Z dniem 31 grudnia salka ołtarzowa przeistoczyła się w parkiet do tańca. Ołtarz z radością wyjechał na swoim podwoziu 4x4, tylko Bogu ducha winni święci nie mieli drogi ucieczki i musieli bawić się z nami. Sala była w pełni wyposażona w to, co człowiekowi do dobrej zabawy jest niezbędne. Stoły ugięły się pod ciężarem smakołyków, w powietrzu unosił się zniewalający nozdrza zapach pizzy, a z głośników rozbrzmiewały najlepsze hity.



Około 21:30 zaczęli pojawiać się pierwsi przybysze z dalekich pachnących Orientem stron. Od zaraz przedsiębiorczy Wangrat zabrał się za interesy. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo, wykupując piękne dziewczyny za równie okazałe wielbłądy. Za sprawą DJ'a Łazarza impreza rozkręciła się na dobre. Ale czas pędzi nieubłaganie i szybko przyszło nam rozstać się z gorącym od emocji parkietem, bo Nowy Rok lada moment miał nadejść. Wzięliśmy flaszki szampana i w szampańskich nastrojach ruszyliśmy na

pobliską polanę, gdzie zebrało się już sporo ludzi, a fajerwerki rozświetlały niebo nad Zakopanem.

To była wyjątkowa noc. Nie tylko dlatego, że była zarazem ostatnią i pierwszą nocą w roku. Nie tylko dlatego, że spędzaliśmy ją w gronie przyjaciół wśród przepięknych gór. Wyjątkowości dodawało jej jeszcze jedno ważne wydarzenie. Otóż Maciek Szuba miał być wtedy pasowany na rycerza. Jego eminencja Michał Bekey przyjechał na nasze ziemie specjalnie z Węgier, by w tak znakomitej oprawie przyjąć nowego przewodnika SKG w szeregi zasłużonych i nagrodzić go orderem Przewodnickiej Blachy. Nieodczony płomień świecy i przez wielu po raz pierwszy w życiu zasłyszany tekst przysięgi [odczytywanej z kawałka papieru do pakowania prezentów ;)] miały w sobie coś magicznego i wzruszającego zarazem. Na pewno wielu z nas zaświeciły się wtedy oczy, zapłonęły policzki i serce przyspieszyło swój rytm na myśl, że i ich może spotkać w przyszłości tak doniosła chwila.



Świeży przewodnik uklęknął na jedno kolano, a Bekey niczym mieczem podczas rytuału pasowania na ryce-

rza dotknął kijkiem trekkingowym Maćkowego ramienia. Jak jeden mąż rzuciliśmy się, żeby uściskać i pogratulować nowemu przewodnikowi. A zaraz potem wybiła północ i popijane szampanem noworoczne życzenia poszły w ruch. *Żebyśmy i my w tym roku doczekali się blachy!* – życzyły sobie kursanty i spady. *Miłości! Podróży! Niekończących się górskich wędrówek! Zdobycia Kazbeku, Elbrusa i Korony Ziemi! I przede wszystkim, byśmy mogli za 12 miesięcy wspólnie, żegnać stary i witać Nowy Rok!*

1 stycznia to także dzień urodzin Józki, której nie szczęśliwie dzieliśmy sto latów!

Nie wszystkich jednak grzały ciepłe kurtki na miarę Michała Puszka Pluty, dlatego pora było wracać. Na nowo ukazały się dziewczyny w olśniewających orientalnych kreacjach i bacznie obserwujący ich wdzięki arabscy biznesmeni. Jedwabne tkaniny, tkane materiały, złoto i szlachetne kamienie wnet zwarły się w tańcu z butami trekkingowymi i sakiewkami pobrzękującymi dobrze ulokowanymi pieniędzmi. Ulotne spojrzenia i kokieterijne ruchy ulegały silnym i dynamicznym tancerzom, omal nie wyrwywały swoim partnerkom rąk (wiadomo, o kim mowa ☺). Aż wreszcie nadszedł czas na wyłonienie tej najpiękniejszej. Sorry panowie, ale ten odłam filozofii gender zakłada, że to kobieta powinna wygrać konkurs piękności. Spośród wielu orientalnych i oryginalnych przybyszów z dalekich stron – jak choćby potwór morski – jury wyłoniło trójkę najbardziej zachwycających gości: Michała Wangrata – kupca żon z Arabii Saudyjskiej, Księcia Persji Alexa oraz czarującą Szeherazadę Józję. Dodatkowo docenieni zostali także niezastąpieni pomocnicy przy organizacji imprezy: Ela, Maluch, Paulina, Michał P i Maciek Sz.

Z głośników na nowo popłynęły elektryzujące dźwięki, nowa dawka energii i radości rozniosła się po parkiecie, a najwytrwalsi skończyli dopiero nad ranem... ■

Jasełka XXXIII Kursu

Józia Świącicka

W tym roku Kurs Przewodnicki zaskoczył nas nietypową formułą wigilijnego przedstawienia. Prócz tradycyjnych motywów kursówkowych, pojawili się w nim też Trzej Królowie. Niewątpliwie jedną z najbardziej brawurowych ról okazał się Prezes w roli Dzieciątka Jezus. Szczypty surrealizmu dodawał całości konferansjer w postaci wielkiego białego królika.



A było to tak:

Dawno, dawno temu w Beskidzie Jerozolimskim pojawili się Trzej Królowie: Król Hawajów (mimo pory roku, nie zrezygnował ze stroju narodowego, tj. kłapek, szortów i koszuli w kwiatki), małomówny Król RPA i Król Indii, niezwykle dostoyny w swoim stroju złożonym z dwóch płacht energety, fioletowej peruki, założonych na nią hinduskich brzękadełek i wielkiej liczby czołówek, którą starał się zrekompensować swe mizerne umiejętności topograficzne. Ta trójka, prowadzona przez niewidomego Króla Indii (macał drogę masztem od namiotu), wybrała się na poszukiwanie groty, w której miała znajdować się niewiasta z dopiero co urodzonym przez nią synem, imieniem Jezus.



Tak, jak mówi tradycja, Trzej Królowie nieśli ze sobą dary, z których najcenniejszy był (osmalony) Gar pełen Dobroci, przywieziony aż z dalekich Indii. Po drodze oczywiście zabłądzili, bo przy pakowaniu pomylili mapy i zamiast Beskidu Jerozolimskiego, wzięli ze sobą Gorce. W swej tułaczce natrafili na Pasterza ze swoją Owcą (re-

zyser zachował w tajemnicy, dlaczego stado zostało tak przetrzebione). Człowiek gór zadał monarchom trzy pytania. Pierwsze miało sprawdzać ich umiejętności ścisłego myślenia: Ile juhas doi owiec na godzinę? Padła poprawna odpowiedź, że pięćdziesiąt. Zadowolony Pasterz przeszedł do trudniejszych zagadnień. Padło sakramentalne: co to za góra? Po ciężkich zmaganiach umysłowych, królom również udało się odpowiedzieć poprawnie. Na koniec, pasterz wyrzekł, z desperacją w oczach: macie może fajki? Król Hawajów poratował biedaka, częstując go papierosem, Pasterz więc zagwizdał na swojego renifera (endemiczny gatunek z Beskidu Jerozolimskiego z fosforyzującym nosem) i uciepienia jego ogona monarchowie pomknęli ku grocie. Królik zapowiedział koniec pierwszego aktu i przerwę.

Gdy część aktorów zabawiła publiczność koledą, pozostali rozłożyli na scenie dwusekundowy namiot Quechua, który miał pełnić rolę groty. Natychmiast wtłoczono tam Michała Plutę w roli Jezuska i towarzyszącą mu Maryję, spowitą w pastelowe chusty. W tym momencie rozpoczął się akt drugi. Królowie przybyli przed grocie, gdzie drogę zastąpił im srogi Józef. Usłyszawszy od nich, że przyszli złożyć hołd Jezusowi i ofiarować mu dary, przedzwonił szybko do małżonki (padło obcesowe: No, cześć, Maryjka, jak tam poród?) i zaprowadził królów przed grocie. Na ich spotkanie wyszła zjawiskowa Maryja wraz ze skulonym u nóg Jezuskiem. Królowie po kolei wręczyli swe dary; jeden posunął się nawet do tego, że długo i solennie głąkał Dziecię po głowie.



Nie pamiętam, jak się skończyło przedstawienie, bo za bardzo się śmiałam. W jasełkach ujęło mnie przede wszystkim nowatorstwo w podejściu do tematu i perfekcyjne połączenie estetyki górskiej ze świąteczną. Nie zabrakło nawiązań do tradycji, pojawił się jednak i popkulturowy renifer, i surrealistyczny królik. Wreszcie – kostium Króla Indii i koncepcja tej postaci zasługują na naprawdę gromkie brawa. Kursanci XXXIII Kursu pokazali, że wigilijne przedstawienie nie musi być „chałturą” wymyślaną na pięć minut przed wigilią. Pomimo, że – jak zapewniał mnie jeden z aktorów – przygotowaniom poświęcili niewiele czasu, całość robiła wrażenie przemyślanej i zapewniła nam chwilę miłej rozrywki w trakcie klubowego spotkania.



Z pamiętnika kursanta XXXIII KPG

- Zrobmy przerwę...
- Nie!
- Ale ja chce się napić wody...
- TO SSIJ MECH.

- Coś ładnie pachnie...
- To grzbieta.

Z wielu chwil mniej i bardziej przyjemnych szczególnie pamiętam doświadczenie zasypiania w marszu. Szliśmy dzień i całą noc, a potem znów dzień. Zakładaliśmy się, że u celu będziemy o godzinie 8 rano, później, że o 10, że o 12... Gdy mijała 26 czy 28 godzina bez snu, powoli przestawały do mnie docierać głosy rozmów towarzyszy... Wciąż idę i idę ale jakoś tak miękko się robi, oczy same się zamykają i odpływam, a wciąż przebieram nogami... I nagle dostaję mokrą gałąź w twarz, otwieram oczy i dziwię się że jestem w lesie i dopiero wtedy pojmuję że ten stan przed chwilą to był krótki sen, a ja wciąż idę. Wszyscy tak szliśmy, a gdy w którymś momencie każdy mógł chwilę postękać o swoim zmęczeniu, okazało się że większość z nas doświadczyła halucynacji. lub raczej snu na jawie, bo chyba tak należy nazwać stany świadomości jakie osiągaliliśmy idąc i śpiąc jednocześnie...

Zawsze z kursówek przywożę do domu mokre ubrania, błoto, zapach lasu, zmęczenie i jedno dziwne uczucie. Gdy wracam do miejskiej codzienności, mam wrażenie, że czas się zatrzymał, a mi udało się ukraść dwa dni innego świata, bez telefonu i komputera, dwa dni długich kilometrów, nocnych rozmów w marszu i niezapomnianej atmosfery, dwa dni małego szaleństwa, które przynoszą tyle wrażeń co dwa tygodnie normalności.

Stefania

Zapadł mi w pamięć świetny referat Kacpra na temat konfliktu polsko-ukraińskiego w trakcie i po II wojnie światowej. Był bardzo dobrze obeznany w temacie, barwnie opisywał konkretne zdarzenia wraz z ich przyczynami i skutkami. Miał nawet ze sobą odpowiednią książkę, której fragmenty nam przeczytał. Wszystko fajnie pięknie, tylko jeden szkopuł – czas: niedziela o 21, miejsce: przedział rowerowy w pociągu powrotnym do Warszawy. Ściśniętym i okrutnie zmęczonym kursantom głowy opadały coraz niżej, a opowieść Kacpra trwała, i trwała, i trwała, i trwała...

Damian

I kursówka – Beskid Żywiecki. Wszystko zaczęło się jeszcze na dworcu. Zbiórka przed odjazdem, a nam brakuje karimat, kilku uczestników i dwóch namiotów. Im dalej szliśmy, jechaliśmy tym więcej dobrego nastroju dostarczaliśmy sobie nawzajem. Nocleg na półkach bagażowych na początku był zaskoczeniem dla niektórych z nas, ale w trakcie następnych podróży było to jedno z wygodniejszych miejsc, nie licząc przedziału rowerowego, który został naszą sypialnią. Najbardziej w pamięci utkwiła mi szczęśliwa Mania ze szczotką do zębów i znaleźną pastą. Szczotka, pasta, strumyk zimnej wody i praca wre. Nagle przychodzi Piotrek, który szuka swojego mydła, upakowanego do tubki po paście do zębów, w ramach oszczędności miejsca. Mina Mani bezcenna.

Agata

Kiedy wysiadasz z autokaru w nocy, na jakiejś beskidzkiej drodze, której numeru nie umiesz sobie przypomnieć i orientujesz się w jednej chwili, że tkwisz pośrodku niczego, zaczynasz poważnie zastanawiać się nad swoją poczytalnością i jasnością umysłu. Podobnie, gdy stoisz we mgle na zupełnie zwyczajnym pagórku, wiatr próbuje ukraść Ci mapę, a Ty, wymachując kompasem, starasz się ją zatrzymać, w Twojej głowie kołocze się wciąż to samo pytanie: „co ja, na wszystkich bogów, robię ze swoim życiem?”. Wystarczy jednak, że ktoś obudzi Cię rano i z uśmiechem na ustach zaprosi do ogniska na ciepłe śniadanie, przygotowane w sercu skąpanej w słońcu, zaśniewanej polany, byś wiedział, że jesteś dokładnie w miejscu, w którym powinieneś się znajdować. Taką samą pewność zyskujesz także wtedy, gdy w gęstych ciemnościach, na owiewanej ze wszystkich stron połoninie ktoś inny zrobi i przyniesie Ci pyszną kanapkę lub wówczas, gdy kolejna dobra dusza pomoże Ci wdrapać się na całkiem spore zbocze, z którego za wszelką cenę chce ściągnąć Cię piętrzące się pod stopami błoto.

Moje przedkursówkowe wyprawy w góry mogę policzyć na palcach jednej ręki. Po wyjazdach listopadowo-grudniowych nabrałam pewności, że będzie ich więcej. Dziękuję wszystkim tym, z którymi dotychczas dzieliłam kursowe szlaki i mam nadzieję, że jeszcze wiele gotów przejdziemy razem.

Julia

Kurs wprowadzić się jeszcze nie zakończył, ale można o nim powiedzieć jedno: świetnie organizuje czas. Jeżeli ktoś ma go za dużo, kurs wyznaczy mu rytm: zajęcia teoretyczne, w międzyczasie praca, zadanie do przygotowania na kursówkę, znowu w międzyczasie praca, kursówka (konsumpcja całotygodniowych przygotowań), zmęczenie w trakcie i po kursówce (spowodowane brakiem snu), no i znowu, tak jakoś we wtorek, zaczyna się nowy, ekscytujący tydzień: zajęcia teoretyczne, w międzyczasie praca, zadanie do przygotowania na kursówkę ... I tak od sześciu tygodni, pomimo zmęczenia jest super, tylko jakoś zacząłem chudnąć. Natomiast, jeżeli ktoś nie ma zbyt dużo czasu to śpi jeszcze mniej i jest jeszcze fajniej, tylko w pracy czasami można "uciąć komara". W czasie czytania jakiejś pochłaniającej decyzji lub bardzo ważnego wyroku. A w czasie konsumpcji tzn. wspaniałego wyjazdu w zakrzaczony góry człowiekiem targają skrajne uczucia. Najczęściej oscylują one wokół "o boże, znowu nie wiem, gdzie jestem, czy to już Węgry?" albo "ta góra, którą wskazuje azymut to na pewno nie ta, o której myślę". Myśli te pojawiają się najczęściej podczas prowadzenia grupy, wtedy jednak Instruktor (osoba wyposażona w notatnik, która często zadaje pytanie, gdzie jesteście, ale której my – kursanci nie możemy zapytać, gdzie jesteście, bo i tak nam nie powie) zmienia prowadzenie. Bywają też bardziej przyziemne myśli: "i na co mi to było, a mogłem sobie siedzieć w ciepłym domku" – to wtedy, jak jest zimno i mokro albo: "kurcze, w butach jacuzzi, przynajmniej tam jest ciepła woda". A jak jesteś zmęczony i ktoś cię zdenerwuje, bo ty chcesz iść (bo tak jest ciepło), a ktoś chce pić strumyczanek, to bardzo łatwo wyrywa się z twoich ust "ssij mech". Podczas dwudziestosześciodzinnej doby zaczynasz widzieć rzeczy, których nie ma (chyba?), w głowie zaczyna ci świtać, chyba masz omamy, ale nic nie mówisz, bo inni pomyślą, że jesteś jakimś świrem. Natomiast, jeżeli coś ci się udaje lub masz zaszczyt prowadzić grupę, to twoje przyjaciółki adrenalina i euforia podpowiadają ci, że: idziesz stanowczo za wolno, a inni tylko zamulają trzydzieści metrów za tobą (to ich wina). No i łoś się kilometry albo goty, tylko jak je obliczyć?

Na końcu znowu dopada nas zwątpienie i pojawia się myśl "o boże znowu nie wiem gdzie jestem". Zarzucam wielkiego buraka (błądę tak, że nie wiem gdzie jestem, a Instruktor nie chce powiedzieć, gdzie jesteście) i wtedy Wszechmocny Instruktor (osoba wyposażona w notatnik, która często zadaje pytanie, gdzie jesteście, a której my kursanci nie możemy zapytać, gdzie jesteście, bo i tak nam nie powie) zmienia prowadzenie i jest ci smutno, znikają twoje przyjaciółki adrenalina i euforia, pojawia się kolega zmęczenie, sam zaczynasz zamulać trzydzieści metrów za prowadzącym. i trzeba wyjąć batona lub kielbatona, żeby przezwyciężyć niesprzyjające okoliczności losu. No i trzeba jeść, dużo jeść, a jedzenie z piachem smakuje lepiej, breja z patyczkami też, glut z resztkami obiadu też wszystkim smakuje (odkrywamy nowe wspaniałe smaki), tylko strumyczanek uczuła, więc trzeba jej unikać, chyba że jest w formie herbaty o smaku wędzonej kielbaski lub wędzonego łososa. Ludzie w cywilizacji za taką herbatkę muszą specjalnie dopłacić, a i tak aromat wędzonego łososa w wielkowiejskiej herbatce wydaje się jakiś sztuczny. Po czterdziestu ośmiu godzinach wspaniałych przeżyć wracamy do domu, smutni że to już koniec, a smutek zmieszany z wędzonym zapachem tak bardzo od nas emanuje, że nikt z pasażerów nie chce dzielić z nami jednego przedziału... i dobrze, bo lubimy się alienować. Podczas podróży powrotnej przystępujemy do twórczego wykorzystania infrastruktury PKP. Zasypiamy na grzędzie, której szczebelki trochę niszczą matę i wbijają się nam w plecy, a grawitacja działa na nas w bok, przez co śpimy przyklejeni do ściany, bo obrót na drugi bok grozi upadkiem z wysokości, co jest śmiertelnie niebezpieczne – ciekawe czy nasze NNW obejmuje takie zdarzenie. Część kursantów spragniona wyższego komfortu śpi w przedziale rowerowym lub najzwyczajniej piętro: sześć osób na fotelach, a dwie osoby między fotelami, na podłodze, tylko wtedy narażamy się na zdeptanie przez współspaczący przedział, których stopy czasami smyrają nas po twarzy. I tak przyjeżdżamy o szóstej rano do Warszawy, by o ósmej stawić się wypoczętym w pracy, w oczekiwaniu na kolejny ekscytujący wyjazd w zakrzaczony góry już za pięć dni.

Paweł

Mokre buty, fauny i znikająca kiełbasa

czyli zimówka XXXIII KPG

Grzegorz Kaczmarek

Brunary, godzina 5:15

Wiej jak cholera,

Ciemno wszędzie,

Głucho wszędzie,

Staszku, co to będzie,

Co to będzie?

8 lutego Naszą zimową wyprawę w Beskid Niski zaczęliśmy od zwiedzenia z zewnątrz cerkwi w Brunarach. Wkrótce potem przekroczyliśmy Białą i ruszyliśmy w góry. W trakcie marszu na przełęcz między Małą a Wielką Kiczera rozwidniło się. Dzień przyniósł pierwszą panoramkę zakończoną upolowaniem przez Staszka Mierzwiaka Michała Pluty „Puszka”, który padł ofiarą kanapki. Jeśli już o kanapkach mowa, to podczas pierwszej przerwy sensacje wzbudziły puszkowe kanapki z karczkiem.

Powoli rozwiały się poranne mgły i zaczął kropić drobniutki deszczyk. Szliśmy na przełęcz między Sołtysim Wierchem a Wielką Kiczera. Nie trafiliśmy tam od razu, ale w końcu została ona zlokalizowana i zaraz po ustaniu opadów zasiedliśmy na szczycie Sołtysiego Wierchu. Tu nasz szef szefów – Michał Strzelczyk „Strzelec” przedstawił zasady wyjazdu i rolę waletów. Przyjemnie siedziało się przy ciepłej herbacie, no chyba, że figlarny Michał P. wrzucił komuś do kubka śnieżkę.

Strzelec dokonał odkrycia na szczycie Sołtysiego Wierchu. Otóż na stojącym w krzakach słupku znalazł kartkę przyciśniętą kamieniem. Okazało się, że nie byliśmy tu pierwsi – 14 lipca 2013 roku na szczyt zawitali trzej przedstawiciele SKPB Lublin. Strzelec wręczył mi tą karteczkę i zaproponował, żeby „wysłać ją do SKPB z pozdrowieniami od SKG”.



W końcu przyszło nam opuścić legowisko i pod przewodem Magdy Czarneckiej zejść do Polan. Suchą nogą przeszliśmy Mostysz i rychło dotarliśmy do cerkwi. Tu, wysłuchawszy kilku słów i posiliwszy się „obrokiem”, wzięliśmy udział w eksperymencie. Strzelec nakazał zapamiętać trasę do przełęczy między Uboczem a Czerteżami i zwinąć mapy. Prowadzili nas kolejno Asia Aleksiejuk i Tomek Lieto, który przejął dowodzenie na Sterminie. Tak też podziwialiśmy taniec słońca między gałęziami drzew. Miało

się wrażenie, jakby jakiś beskidzki duszek grał na harfie. Na Sterminie zrobiliśmy sobie pierwsze wspólne zdjęcie, po czym ruszyliśmy dalej. Już w szarówce, po dwóch i pół godzinie dotarliśmy do mety.

Obiad przyszło nam przygotowywać już w ciemności. W trakcie pichcenia Tomek Kłoda żałował, że mamy Sagę a nie Liptona, co Strzelec skwitował krótko słowami: „E tam, Lipton-Cipton”. Instruktor, martwiąc się o kursantów, powiedział także: „nie poparzcie się pierwszego dnia, możecie we wtorek”. W tym momencie Paweł N. wyznał: „Nie mam dziwki, ale mam rękawiczki”. Nie trzeba było długo czekać, aby z ust Strzelca obserwującego kuchcików popłynęły dalsze złote cytaty: „Dobrze im idzie operowanie kijami, awansują na Chińczyków”. Uspokoił też Pawła Nowakowski, który dostrzegł robaczka w garze. „Nie, to parmezan” – osądził. Michał P., głód cierpiący i marnowania jedzenia nie znoszący, pożerał makaron z drąga do mieszania. Zakąsiwszy, zapiał z zachwytu nad swoim otoczeniem: „Mam cztery dziewczyny i jeszcze Asię”. Gdy obiad został skonsumowany, Strzelec oznajmił: „pomijając to, że komuś płoną buty, zaczniemy omawianie”.

Dalej, pokonując długie podejście w mrokach nocy, przemierzaliśmy Czerteże i Ubocz nr 2, aby natrafić na żółty szlak. Zrobiło się tak strasznie, że Tomek L. powiedział: „Boję się sam iść na siku, bo mnie fauny zajdą od tyłu, a po wszystkim wrzucą nagranie na YouTube”. Dalej było jeszcze ciekawiej. Owiewani lekkim wiatrem, w lepkim i ciężkim śniegu sięgającym kostek podążaliśmy szlakiem do skrzyżowania z niebieskim oznakowaniem. Tu Puszek, uknuwszy chytry plan, usiłował dowieść do plecaka Asi znaleziony na drodze drewniany drogowskaz. Plan był chytry, ręce zręczne, doświadczenie dziesięciu filutów, ale cała operacja nie powiodła się.

Następnie pod przewodem Marka Paleskiego złoiliśmy tęgie podejście na Dział i zeszlismy do drogi biegnącej przez przełęcz pod tym szczytem. Tutaj, po przejściu władzy przez Asię, pociągnęliśmy na Kotowiki Wyżne, w pobliżu których zjedliśmy posiłek i rozbiliśmy namioty.

9 lutego O poranku pojawił się Damian Dąbrowski, a innym kursantom zebrało się na wyznania. Zaczął Michał W.: „Z ludźmi daję sobie radę lepiej niż z matematyką, a jak mi z nimi idzie to wiecie, ciągle ktoś chce mnie ubić”. Dalej było jeszcze ciekawiej, gdyż Magda opowiadała o tym, jak grała w Familiadzie: „Byłam głową rodziny, wygraliśmy 0 zł, ale pytania były beznadziejne i nie przyznali nam punktów za sensowne odpowiedzi”. W reakcji na głośne okazywanie głodu przez Michała P., Michał Wangrat zaproponował: „założymy Stowarzyszenia Ochrony Puszka. SOP będzie otrzymywało 1

Jak to nie raz miało się jeszcze okazać, gdy Michał W., Magda i Puszek znajdowali się blisko siebie, reszta grupy mogła liczyć na niezły ubaw:

Magda: Michał, ale masz czystą menażkę! Michał W.: Mam długi język. Michał P.: To jeszcze termos wyczyść. Michał W.: Jestem człowiekiem wielu talentów – umiem

ruszać uszami. Michał P.: Dar od Boga! Michał W.: No wiesz, jak Bóg rozdawał talenty, to wziąłem, co zostało.

Po omówieniu ruszyliśmy z Pawłem N. niebieskim szlakiem weszliśmy na Jaworzynkę około godziny 13, by następnie zejść w dół do gruntówki. Tu zatrzymaliśmy się, bo Paweł N. potrzebował czasu na rozpoznanie przejścia do przełęczy, jak się wydawało zagrodzonego siatką. Wychoząc z założenia Strzelca, że „lepiej zjeść i zwrócić, niż z jedzeniem do Warszawy powrócić”, zjedliśmy chałwę. Korzystając z chwili wolnego czasu, zrobiłem sztandar z flagi SKG i badyła. Rolę chorążego pełnił Tomek L. Po dłuższej pauzie zeszliśmy w dół, omijając z prawej ogrodzenie, a dalej po dotarciu do Cygańskich Pól, Grzesiek Bokota powiódł nas na Żdźzar. Tuż przed przerwą na szczycie wygłodzony Paweł stwierdził, że „teraz jest jak kombajn i zjem wszystko”. By uchronić tutejsze zarośla przed działalnością Pawła zeszliśmy do Berestu. Na zejściu jedni podziwiali zachód słońca, drudzy zaś skuszeni transmisją z Soczi, zaglądali w okna domów.

W Bereście, jakżeby inaczej, obejrzelśmy kolejną zamkniętą cerkiew. Nie pomógł nawet telefon do proboszcza ściągnięty ze znanej tylko Staszce strony Twojproboszcz.pl. Nie miała sensację wzbudził usytuowany w pobliżu wychodek. Tomka L. zaciękało, dlaczego każda sławojka ma na drzwiczkach serduszko. Sprawę wyjaśnił instruktor stwierdzając, że symbol należy obrócić i wyjdzie dupa. Niektórych tak oczarował wychodek, że z pobliskiego Mostyszu chcieli zaczerpnąć leczniczej wody, znanej szerzej jako biegunianka. Na szczęście w pobliżu był Grzesiek B., który stanowczo zaoponował i po kwadransie zacięklego perswadowania przekonał pomysłodawców, by zaniechali tego zamiaru.

Zebrałiśmy się pod komendą Tomka K., aby podążyć na południowy wschód i o 19:30 dotrzeć na Babią Górę. Nawet nie myślałem, że dojdziemy tak daleko! Był to co prawda szczyt położony nie w Beskidzie Żywieckim, lecz o rzut beretem od przełęczy Huta, stanowiącej granicę Beskidów Niskiego i Sądeckiego, ale i tak byłem z nas dumny. Nagi grzbiecik był minimalnie ośnieżony, ale zima przypominała o sobie, smagając naszą kolumnę lodowatymi podmuchami.

W dole mogliśmy podziwiać kilka okolicznych cerkwi, m.in. w Piorunce. Podświetlone świątynie wyglądały pięknie, aż chciało się do nich zejść. Po przekroczeniu mostem rzeczki Piorunka zatrzymaliśmy się na podejściu pod Chłopski Wierch. Potem poszliśmy na lekki północny zachód i usadowiliśmy się tuż pod szczytem. Zabraliśmy się za przygotowywanie obiadu. Ja, wraz z Grzeskiem B. i Michałem Stachurą., ruszyłem do jaru. Tu dotarła do nas wieść o złocie dla Stocha.

Gdy wróciliśmy, ogień już buchał, tak więc o 21:30 mogliśmy przystąpić do jedzenia. Ktoś z naszej czeredy stwierdził nawet, że takiego jedzenia to nawet w domu nie ma. Z drugiej strony ogniska padła wówczas krótka riposta: „no to współczuję!”.

Po omówieniu Strzelca ruszyliśmy znowu pod górę. Niespodziewanie, po 5 minutach marszu, zarządzono nocleg. Dzień kończymy wyznaczeniem pobudki na 5:30.

10 lutego Niestety powyższy plan pozostał jedynie na papierze, gdyż mój namiot zasnął i na starcie mieliśmy półtoragodzinną obsuwę. Padający w nocy śnieg i poran-

ny prysznic z drzew utrudniły rozpalenie ogniska. Mimo że ekipę zajmującą się tym zadaniem terroryzował Michał P., śniadanie trafiło do naszych żołądków około 9:00. Z zaistniałej sytuacji zręcznie wybrnął Strzelec, mówiąc: „trzeba przestawić zegarek o godzinę i po obsuwie”. Wyczuciem wykazał się także Michał W. apelując: „Zbierajcie śnieg po bokach drogi, bo na środku wysikałem SKG”.

Poranek był nieprzyjemny, wszystko płynęło, byliśmy „obsikiwani” przez fauny ukryte na drzewach, tak więc bardzo się ucieszyłem, gdy wreszcie ruszyliśmy na Chłopski Wierch. Tam opuścił nas Michał S.

Michał P., skuszony parasolem, podszedł do Magdy, która wytknęła mu: „A mówiłeś: po co ten parasol”. Figlarnemu Pusiowi poczerwieniałe policzki uniosły się w górę, a oczy zaszyły mgłą, gdy powiedział: „Oj Magdo, wiesz jak ja cię lubię”. A jaka była reakcja interlokutorki? – „Oj pusku, pusku, zaraz ci ciocia Madzia ściągnie okruszek”, co mówiąc, delikatnie wytarłosiła go za policzki i ściągnęła z twarzy paproszek. Wyraz twarzy Pluty był bezcenny. Po wejściu na górę maszerowaliśmy najpierw na zachód, a potem na północny zachód. Po drodze dostaliśmy do rozpoznania górę widoczną na zachodzie – była to położona w Beskidzie Sądeckim Jaworzyna Krynicka.

Na polanie przed szczykiem 610 zrobiliśmy przerwę opodal dwukondygnacyjnej ambony, na którą oczywiście się wdrapaliśmy, co zza ogrodzenia sfotografowała sarenka – Michał Pluta.



Dalej prowadził nas Damian. Stanęliśmy na bezleśnym wzniesieniu nad Śnietnicą i tu, ogrzewani promieniami lu-

towego słońca, zrobiliśmy panoramkę gór Hańczowskich. O 13:30 nad masywem Stawiszca pokazał się księżyc zapowiadający zbliżający się zmierzch. Przyjemnie było obserwować niebieskie niebo, po którym sunęły armady bielutkich obłoków naganiane przez południowy wiatr. Dostrzegając z daleka Flaszę nad jeziorem Klimkowskim, wspomniałem mój wrześnieowy wypad w rejon Uścia Gorlickiego.

Jako że każda panorama kiedyś się kończy, Damian zebrał nas do kupy i sprowadził w dół. Tu kawałek szliśmy gruntówką, po której płynął strumyk. Prowadzący przytomnie ewakuował nas na pobocze, aby po chwili przejść po mostach Czarniankę i Białą. Przekroczywszy tę ostatnią, Damian zrobił postój, aby dać sobie czas na rekonesans. W jego trakcie jedną głównych atrakcji stała się olbrzymia dżdżownica, którą Marek proponował dorzucić do paczki Haribo. Damian powrócił po kwadransie i poprowadził nas jakieś 100 m na północ wzdłuż Białej. Tu, nad samą wodą, w bezpośrednim otoczeniu lasu łęgowego, stanęliśmy na obiad, który była kielbasa z Sokołowa.



Dostrzegając przewijającego się obok Magdy Michała W., wiedziałem, że zaraz usłyszymy coś ciekawego i nie pomyliłem się. Michał W. zaprezentował wiedzę wyniesioną po lekturze książki „Savoir vivre w SKG”: „Z komplementami do dziewczyn trzeba ostrożnie, nie mówcie jesteście wielką”. Magda zmartwiła się, że gdy wyjedzie to nie będziemy mieli z kogo się nabijać. Strzelec pocieszył nas, mówiąc: „jak to z kogo, z Pluty bo to niewyczerpany temat”. W trakcie spożywania żurku z kielbasą podjechał do nas radiowóz. Policjanci okazali się mało czepliwi i przyjęli wyjaśnienia Strzelca. W ten sposób posiłek nad Białą jednak nie okazał się najdroższy w historii SKG.

Już dobrze po zmroku, bo o 17:30, ruszyliśmy w górę na Czereszenne. Podczas pierwszej przerwy termicznej Pawłowi N., pod wrażeniem striptizu Asi, aż zaparowały okulary. Trudno było mu rozgryźć, czy w tej sytuacji należałoby wystawić paragon. Po pięciu godzinach, zostawiając za sobą Czertyżne, Żdziar i zdradliwą Siwejkę, zeszliśmy na przełęcz Lipkę, gdzie zjedliśmy obiadokolację i rozbiliśmy namioty.

11 lutego Rano przy ognisku dołączyła do nas Ola Klimek. Byłem kontent, bo już kolejny raz udało mi się wysuszyć skarpety i wkładki do butów. Udało mi się też nakryć Puszka na gorącym uczynku. Masując przez czapkę głowę Magdy, nachylił się nieco, pociągnął z lekka nosem i stwierdził, że czuje olej rzepakowy.

Po omówieniu pożegnaliśmy Grześka B., wreszcie opu-

ściło mnie poczucie rozdwojenia jaźni. Zarządzono wy marsz i skierowaliśmy się na południe, ku Wnykom, gdzie dostałem moje pierwsze od przeszło dwóch lat prowadzenie. Wypadło mi poprowadzić grupę na Stożek, Białą Skalę, Ostry Wierch i przełęcz Huciańską.

Na Wnykach zakręciłem się z wrażenia, ale prawie natychmiast znalazłem właściwą drogę i podążyłem na Stożek. W jego rejonie znaleźliśmy okop z I wojny światowej, o którym powiedziałem parę słów i ruszyłem ku przełęczu Perehyba, gdzie zarządziłem przerwę przed czekającym nas stromym podejściem pod Białą Górę. Tutaj oraz na Ostym Wierchu było nieco więcej śniegu, ale nadal obchodziliśmy się bez torowania. Ostatnią planową przerwę zarządziłem kawałek za Ostym Wierchem, na granicy ze Słowacją. Dalej nastąpiło szukanie grzbietu, wiodącego do przełęczy. Z początku nie mogłem go odnaleźć, więc ruszyłem na rekonesans, co dało grupie czas na rozegranie konkursu w rzucaniu śnieżkami do celu. Po ogarnięciu sytuacji zaczęliśmy zlaźić grzbietem. Na tyłach grupy zawrzała bitwa na śnieżki. Konfederaci robili wszystko, by dopiec przeciwnikom i z oporami schodzili w dół, wiedząc, że czekają tam Rosjanie.

Mimo, że przestrzeliłem przełęcz Huciańską o jakieś 100 metrów, to po zejściu do drogi jej zlokalizowanie nie sprawiło mi kłopotu. Tuż obok, w pobliskim lesie odbyły się manewry ogniowe, obiad i pożegnanie ze Strzelcem i Pauliną Kocot. W tym układzie zostałem ostatnim waletem.

Zdani na łaskę Pluty, mieliśmy przemaszerować 15 kilometrów asfaltem przez Ropki, Skwirtne, Hańczową i Regetów Wyżny. Na trasie z Ropki do Hańczowej widzieliśmy błyskającą czerwonym światłem wieżę. Przypominała mi nieco legowisko Saurona opisane przez Tolkiena. W Hańczowej zatrzymaliśmy się na zakupy. Schowaliśmy się do osłoniętej wieży bramy w ogrodzeniu cerkwi. Minęło sporo czasu zanim w lekkim deszczu ekipa sklepowa ruszała do boju. Sporo czasu zajął referat i przepakowanie jedzenia.

Była też chwila na powiedzenie kilku słów o cerkiewce. Muszę przyznać, że świeżo wyremontowana świątynia wyglądała bardzo ładnie. Moją uwagę zwróciły: malowany zegar na wieży, tablica upamiętniająca 50 rocznicę akcji „Wisła” i monument ufundowany z okazji milenium chrztu Rusi. W międzyczasie Michał P. i Tomek K. musieli pobiec z odsieczą Kindze Dopierale, która, wędrując po wsi z Pawłem, fiknęła na schodach. Na szczęście upadek okazał się niegroźny i skończyło się na siniaku.

W końcu ruszyliśmy dalej. Po drodze ekipa dodawała sobie ducha, śpiewając spontanicznie układane kawałki, stylizowane na wojskowe piosenki. W ciemnościach mijaliśmy liczne krzyże i kapliczki, aż koło północy wylądowaliśmy pod cerkwią w Skwirtynym. Tu znowu zrobiliśmy przerwę na przegryzkę i referat o świątyni. Ze Skwirtnego doczłapaliśmy do bazy namiotowej SKPB Warszawa w Regietowie Wyżnym, gdzie przy przygotowaniu posiłku zastał nas nasz nowy instruktor Paweł Marciniak i jego trzy prawe ręce – Grażyna Chelbicka, Gosia Staroń i Maciek Szuba – mój druh z XXXI KPG.

Przyznam szczerze, że aż mi się łezka w oku zakręciła, jak sobie przypominałem stare czasy i ujrzałem Maćka w akcji na praktyce przewodnickiej. Nie pamiętam dokładnie, kiedy poszliśmy spać, ale na pewno było to po 4:00.

12 lutego Rano miałem okazję rozejrzeć się nieco po bazie i w tym miejscu napiszę o niej kilka słów. Leży nad brzegiem potoku Regatówka, u podnóża Rotundy, na skraju lasu. Można się tu dostać brodem, przez kładkę lub most. Centralnym punktem jest wiata oraz, usytuowane obok, miejsce na ognisko. Otaczają je pale z gwoździem do wieszania rzeczy, zwieńczone małąkimi daszkami. Obok wiaty ustawiono drogowskaz. Na jej tyłach, już w lesie, za strumykiem, ułożona z kamieni ścieżka wiedzie do wychodków. Parę metrów w lewo od miejsca na ognisko, znajduje się źródło wody. Po drugiej stronie rzeczki, naprzeciw wiaty, stoi okazały drewniany dom osadzony na podmurówce z kamieni. I to tyle – w sam raz dla wędrowca z plecakiem.

A co działo się dalej z naszą bandą? No cóż, poranek był bardzo przyjemny, bo dostaliśmy od geodetów kręcących się w pobliżu skrzynkę suchego drwa. Kolejną miłą niespodzianką były ciasta, które otrzymaliśmy w trakcie oficjalnej „intronizacji” drugiej zmiany kadry. Dostaliśmy po dwa kawałki ciasta, każde innego rodzaju. Po śniadaniu mieliśmy czas na ogarnięcie się. Jako że byłem już spakowany i miałem zwinięty namiot, postanowiłem zaryzykować kąpiel w Regetówce. I rzeczywiście, od pasa w górę udało mi się umyć.

Po doprowadzeniu grupy do gotowości bojowej przez prowadzącego, nowy szef szefów – Paweł M. wygłosił kilka cennych uwag:

- „Jeżeli żaden biskup czy generał wam nie zabroni, to warto dać grupie trochę rozpusty, ale trzeba być czujnym, bo to dzicy ludzie wychodzący z lasu”.
- „Warzywa to ważna rzecz, ale nie będziemy po górach nosić dwóch kontenerów marchewek.”
- „Zauważyłem, że jesteście grupą mocno debatującą, są kuluary, stronnictwa i intrygi. Bruksela byłaby dumna z takiego społeczeństwa obywatelskiego, ale nie jest to dobra sytuacja w górach”.

Zszokowany przybyciem kilku nowych osób Staszek zapytał: „Czy można je wykorzystywać?”. Paweł M. wybrnął z tego krótkim stwierdzeniem: „To już co kto lubi”. Na koniec Maciek przypomniał tym, którzy jeszcze tego nie załapali, że instruktor składa się z oczu, gęby i notesu.

Tuż przed atakiem szczytowym z żalem żegnaliśmy Michała P., który, zdawszy Pawłowi M. sprawozdanie z czterech ostatnich dni, mógł spokojnie wrócić do domu. Po przejściu na Rotundę pokonaliśmy, krocząc czerwonym szlakiem we mgle, atakowani przez wszędobylski, ciężki i lepki śnieg. Na górze, przy cmentarzu wojskowym nr 51, spotkaliśmy oczekującego na nas od dwóch godzin Michała S., który powrócił z Warszawy. Po przerwie na kabanosy i referat, ruszyliśmy z Olą K. ku zabagnionej przełęczy u źródła rzeczki Sidławy. Następnie zaczęliśmy podchodzić pod Dział. Tuż pod jego szczytem otrzymałem prowadzenie. Wysłuchawszy instrukcji od szefa szefów, poświęciłem kilka chwil na zorientowanie się w sytuacji i zebrawszy grupę, zacząłem schodzić ku rzeczce Sidławie. Było już zupełnie ciemno. Orientację utrudniała gęsta mgła i charakter zbocza Działu. Gdy trafiłem do celu, zarządziłem postój, aby odnaleźć dogodne przejście przez rzeczkę i wykryć interesujący mnie grzbiet. Zajęło to około pół godziny, m.

in. dlatego, że poświęciłem nieco czasu na wybudowanie prowizorycznej przeprawy z kamieni i drewna. Jakoś udało się nam przedostać na drugi brzeg, skąd zaatakowałem zbocze grzbietu dolegającego do Dzielca od południa. Tu zatrzymałem ekipę na jednym z pipantów w celu posilenia się. Po moim prowadzeniu zajęła się nami Kinga. Skrapiani drobnym deszczykiem, który następnie przeszedł w śnieg, manewrowaliśmy między ogrodzeniami. Na grzbiecie Dzielca prowadzenie przejęła Ola Kołodziejczyk. Zaczęliśmy zdążać na południowy wschód ku granicy państwowej. Podczas postoju, przy podziale kabanosów, ciachnęła się moim nożem. Doktor Grześ natychmiast pośpieszył z odsieczą. Rana okazała się niegroźna i skończyło się na jej odkażeniu wodą utlenioną w żelu i zalepieniu plastrem.

Niedługo potem dobiliśmy do granicy Beskidu. Tu, na życzenie instruktora, Ola poszła na patrol po słowackiej stronie, w którym miałem przyjemność uczestniczyć. Rozpoznanie wypadło pomyślnie i tam też zjedliśmy obiadokolację i założyliśmy obóz – opodal źródeł Riečki. Paweł zrobił omówienie, chyba najbardziej ekspresyjne jakie w życiu słyszałem. Jego ocena sytuacji była niestety do bólu trafna. Po tym, jak wyłożył kawę na ławę, mieliśmy jeszcze trochę czasu na ogrzanie się i podsuszenie rzeczy.

13 lutego Wstaliśmy o siódmej. Z „wyrą” wyszedłem wesół, bo na w ten dzień przypadały moje 26. urodziny i imieniny. Historia zatoczyła idealne koło – znów obchodziłem je na zimówce prowadzonej przez Pawła w Beskidzie Niskim.



Po śniadaniu przeżyliśmy chwilę grozy, gdyż nie można było znaleźć ostatniej paczki z 200 torebkami herbaty. W tej sytuacji do wrzątku dorzuciliśmy daktylę i susz owocowy, co dało naprawdę niezły wynik. Żeby było zabawnie, zaraz potem odnalazła się herbata. Po referacie i mojej imprezie okolicznościowej, około 13:00 stanęliśmy znów na granicy i prowadzeni przez Magdę granicznym grzbietem, doszliśmy na cmentarz z I wojny światowej, położonego nad przełęczą Beskid. Po referacie Oli i zwiedzeniu wszystkich zakątków cmentarza, z wieżą włącznie, odbyło się tarło, w czasie którego Michał W. upominał sąsiada: „gdzie ta ręka!”. W trakcie zejścia do Koniecznej puściły mi hamulce i dokonałem dupo i łopatozjazdu. Nieco niżej sensację na skalę wyjazdu wzbudziła wanna leżąca na środku pola. Zrobiliśmy sobie z nią sesję zdjęciową. Męska cześć ekipy do drugiego ujęcia rozebrała się do pasa i z gołymi klatkami pozowała do „męskiego zdjęcia”. Zainte-

resowanie pań było wyraźnie widoczne. Domagaliśmy się także gołych klat w ich wykonaniu, ale bezskutecznie. Nie pomogło nawet zakamuflowanie tego postulatu, jako mój prezent urodzinowy. Po tej rozpuście Michał W. stwierdził: „Urodziny u Grzesia (Grzesiek Kaczmarek kronikarz wyjazdu) to ostra impreza, kończysz z grupą obcych osób w wannie, pośrodku gór”.

Dotarliśmy do Koniecznej. Stanęliśmy pod cerkwią, gdzie przywitał nas pies sołtysa – Baniak. Załatwiliśmy klucze do cerkwi, zdjęliśmy utyłane buciory i weszliśmy do świątyni – ikonostas jest niekompletny, trwał remont. Po referacie Asi o ikonach, na którym Tomek K. padł jak kłoda na ciepłym dywaniku, instruktor powiedział kilka słów o wnętrzu cerkwi. W czasie naszej nieobecności Baniak porwał kielbasę przeznaczoną na obiad i natychmiast ją pochłoniął.

Podeszliśmy pod dom sołtysa. Tu zaczęliśmy na zagotowanie garów z wrzątkiem. Zamarzlibyśmy na wietrze, sytuację opanowało jednak tarło oraz kot-grzałka. Wreszcie, po godzinie, ruszyliśmy na północny wschód ku pipantowi opodal Łysej Góry. Tuż pod nim przygotowaliśmy obiad. Omówienie, referaty i konsumpcja trwały aż do 22.30. Szef szefów podpytywał nas: „Jakie są wasze plany na najbliższą przyszłość?”. Paweł N. bez ogródek wyjaśnił, że „chcemy poprosić Łemków o azyl polityczny”.

Przy ognisku Ola wspominała spacer po Koniecznej: „Jak chodziliśmy po tych domach, to czułam się, jak złomiarz”. Ktoś z boku dodał: „W tej wsi to nas nieźle załatwili, pies przedstawiciela władzy zakosił nam kielbasę, a Pawła ze skarbowki uziemił kot”. Długi postój pozwolił nam się posuszyć i wypocząć, ale w końcu trzeba było wstać i gonić dalej ku nieistniejącej wsi Lipna. Noc była zimna i wilgotna, a sprawę pogarszał nieprzyjemny chłodny wiaterek. Korzystaliśmy więc z opcji „dogrzewaj się narodzie” – panowie prosili panie lub na odwrót. Zaczął padać śnieg, który przyszył aż do rana.

W końcu weszliśmy na szczyt Czarne, gdzie położyliśmy się spać w namiotach, a co odważniejsi w pobliskiej wiacie. Nim to nastąpiło, odbyłem jeszcze z Michałem W. i Pawłem N. wyprawę po wodę. Napelniliśmy wszystkie butelki i termosy, żeby rano mieć lepszy start.

14 lutego Rano, po śniadaniu, opuściła nas Magda. Prowadzeni kolejno przez Marka, Pawła N. i Staśka, po przygodach z jarem, w okolicy wsi Czarne i grzbietem dolegającym do Ochabisk, stanęliśmy nad rzeczką Mareszką. Najbardziej wygłodniały kursanci przeszli ją w bród, by potem zawrócić przez wodę do mostku wskazanego przez Staszka, jako miejsca przeprawy do Wołowca. Zastanawiałem się, czy trafimy do Andrzeja Stasiuka, ale wylądowaliśmy w gospodarstwie agroturystycznym, którego właściciele pozwolili nam ugotować i spożyć obiad. Aż nie chciało się wychodzić z ciepłego pomieszczenia, wkładać mokrych skarpet i butów.

Plecaki, zostawione na zewnątrz, zamarzły na kość, ewidentnie czuło się, że w tej dolinie jest niższa temperatura. Oceniam, że mogło być około -8 stopni. Była to najzimniejsza noc tego wyjazdu.

Nie udało się nam trafić do cerkwi, więc nowo „koronowany” Damian powiódł nas na zachód ku Maguryczowi Dużemu. Dalej, ku Dziemerze, poprowadził nas Tomek Kłoda. Na postojach za Wołowcem wszyscy zasypiali i, gdyby nie czujny zamek – Paweł N., to zostawilibyśmy na jednym z nich Asię. Czułem, że zamulam coraz bardziej, ledwo kojarzyłem, co się ze mną dzieje i gdzie zmierzamy. Notowałem coraz mniej. Skupiłem się na przetrwaniu, które ułatwiło mi dogrzewanie się na postojach.



15 lutego Pod koniec trasy na Dziamerę moje zmęczenie zaczęło powoli zbliżać się do rekordu z wiosennego 2012 w Bieszczadach. Na ostatnich nogach doszliśmy do pipanta 747, położonego nieco za Dziamerą, gdzie staniliśmy około 5:30. Tam, tuż przed brzaskiem, otrzymałem zadanie zorganizowania obiadu. Wiedziałem, że dowodzę „zrytą grupą”, więc starałem się sprawnie wykonać powierzone mi zadanie. Za mostek kapitański obrałem pień ściętej sosny, z którego wymachiwałem kijkiem, dyrygując ludźmi. Miejsce było nie najgorsze. Drewno mieliśmy pod nosem, do wody też nie było jakoś specjalnie daleko. Po około dwóch godzinach raczyliśmy się tortellini z dodatkami, po czym, na zlecenie Pawła M., grupa opracowała plan ewakuacji do Gorlic. Ostatecznie, w bólach urodziła się koncepcja załatwienia busa z Pętnej do Gorlic. Pozostało więc, jak to określił Paweł N., „wyznaczyć azymut, majty na dupę i w drogę”. Nieco pobłądziliśmy i u celu znaleźliśmy się z godzinnym opóźnieniem, ale bus złapaliśmy i po krótkiej jeździe dotarliśmy na peryferia Gorlic, gdzie zakwaterowaliśmy się w dwóch domkach gospodarstwa agroturystycznego „Sokół”. Roztasowaliśmy się po pokojach, zjedliśmy podany nam pod nos smaczny obiad i umyliśmy się. Na zakończenie wysłuchaliśmy omówienia i poszliśmy spać.

16 lutego Rano, po śniadaniu, Paweł N., po przygodzie z kompasem, doprowadził nas do stacji paliw Grosa, skąd odjeżdżał Miś do Warszawy. Na trasie z Gorlic do stolicy był czas na opowiadanie kilku referatów, oglądanie zdjęć (zauważyłem, że nasze panie były pochłonięte studiowaniem „męskiego zdjęcia” przy wannie), pogawędkę i sen. Zimówkę zakończyliśmy w Warszawie na Dworcu Zachodnim, tuż przed 16:00, gdzie powitała nas Magda.



Zaspy naszym domem, czyli zima w Beskidzie Niskim

Zimówka XXXII KPG

Maciej Szuba

Śnieg co prawda prawie całkowicie już stopniał, ale wspomnienia zimówki ciągle jeszcze żyją, i mam nadzieję je uratować zanim zupełnie wsiąkną w grunt.

Budzisz się po krótkim śnie. Zanim jeszcze otworzysz oczy, jest ci ciepło i wygodnie, ale nie na długo – wystarczy nieco się obrócić, tak troszkę, ruszyć czymkolwiek – od razu odzywają się wszystkie kręgi w lędźwiach jak skrzypiąca pod wiatrem gałąź, biodro wgniecione przez pół nocy w piankę maty oddycha w końcu świeżą krwią, i w sumie można by jeszcze na chwilę przysnąć, ale przeziębiony pęcherz mówi bardzo stanowcze nie. Rozsuwasz więc śpiwór, poprawiasz czapkę na głowie (ale tak żeby nie drapać, bo włosy czwarty dzień nie myte, jak raz się skrobiesz, będzie swędzieć przez godzinę), i zmieniasz skarpety – te do spania, cudownie suche, wracają na stałe miejsce w śpiworze, i teraz dylemat – czy sięgać po te szare mokre, czy tamte zamrożone? A może te wczorajsze, nie będą chyba aż tak przesiąknięte? Chwilę później nos odtaja, i z impetem lokomotywy wraca zmysł węchu i opcja chodzonych skarpet definitywnie odpada. W końcu, naciągawszy jedną czarną, drugą szarą, a obie zimne jak diabli, wypełniasz spomiędzy kompanów w namiocie, tak żeby ich nie obudzić. I tak budzisz, ale oni kulturalnie udają, że śpią. Narzucasz na się kurtkę, rozsuwasz zamek namiotu – i tam, pod tropikiem, czekają wierne jak pies zimowe buty. Zamrożone, biedaczki, bo przesiąkły za dnia, i dopóki się chodziło, było ciepło, a nocą skamieniały – teraz zakładanie ich przypomina nieco wkładanie stopy w lodową szczelinę, a umiła to niezmiernie mokra skarpetka. Buty twarde i sztywne, ale wystarczy dać im kilkanaście minut, odtają, rozchodzą się, będzie je nawet można zasnurować.

Wychodzisz przed namiot. Śniegu na łokieć, dookoła las – zniechęcone jodły i ukochane świerczki, słońce przebłyskuje już między gałęziami, w pozostałych namiotach też widać poranne krzątanie. Ładnie jest, i nic to, że mięśnie drżą od zimna, bo bardziej orzeźwia ono niż chłodzi. Możesz więc napełnić płuca lodem, rozciągnąć się, i ruszyć po drwa – bo na czymś zagotować trzeba będzie tę poranną kawę. A żadna nie smakuje tak dobrze, jak ta z ogniska.

Zaczęło się nieco niezgrabnie, w sumie jak zawsze – pierwsze kroki nigdy nie będą pewne. Nie wiadomo było, na który dworzec zajedzie nasz bus, ktoś w ostatniej chwili biegł do sklepu, bo zapomniał swego przydziału jedzenia, byliśmy nieco niedospani, a przede wszystkim nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka. Busik zabrał nas do Owczar, gdzie na przystanku rozsiedli się wygodnie nasze plecaki. Nic to, że wiatr hula i zwiewa pomidory z kanapek, stójcie kursanty na zimnie, bo plecaczkę się zmęczyły, troczki je bolą i szelki mają poobcierane. Co prawda kanapki nam nie zamarzały (a jest to ponoć wyznacznik prawdziwej zimówki), śniadanie trzeba jednak było skończyć i ruszyć w drogę.

Cerkiew pierwsza, a było ich wiele – szczerze mówiąc,

nie pamiętam już w jakim była stylu, ani jak wyglądała. Po tym, jak prawie codziennie widzieliśmy jakiś chram, zwały mi się we łbie wszystkie te sakralia w jedno – izbica zatknięta na wieży nad przedsionkiem, konstrukcja stelażowo – ramowa, odporna na wiatr i naprężenia, pod stropem nawy przytroczone zaskrzynienia, pozorna dwudzielność trójdzielnej całości, prezbiterium równe na wysokość, ale na szerokość krzywe, wieżba dachowa kryta gontem, a dookoła oszalowanie jak tropik. Kosmos. Stopień niewyspania, zmarznięcia i ilość widzianych cerkwi zszywa je wszystkie w jeden obraz myślowy beskidzkiej cerkwi drewnianej, uniwersalnej, starej i pięknej. Tylko te oczy patrzące prosto z ikonostasu, złote spojrzenia ikon namiestnych – nic to, że niewprawną ręką namalowane, ale takie przezywające...



Zamek jeden, klamka jego mać! – czyli uroki torowania w śniegu i kto na tym najlepiej wychodzi. Z Owczar do Nowicy najkrótsza droga prowadzi przez maszyn Magury Małastowskiej. Trzeba nań wejść, przebyć grzbiet i zejść po drugiej stronie, ot i cała sztuka. Spacer bardzo przyjemny, droga prowadzi przez las, potem wzdłuż rzędów uli nad jarem potoku, pod brzeziniakiem pozbawionym liści – na nas jednak po drodze czekały zaspy kopnego śniegu, przez który trzeba się było przetorowywać. Jeden szedł na czele, brnąc i grzęznąc w co głębszych wykrotach, z okiścionych gałęzi czapy leciały na czapki, pod stuptuty wślizgiwały się mokre grudy topniejąc później i spływając strużkami po łydkach, a buty nie wiadomo kiedy zaczynały przemakać. Generalnie robiło się zimno i niezbyt przyjemnie. Nigdy też nie zazdrościłem tak bardzo zamkowi, bo mógł sobie kulturalnie iść po gotowej ścieżce, wydreptanej przez rączy zastęp leśnych zuchów. Na dłuższą metę jednak zamki nie miały tak dobrze, bo kiedy człowiek przyzwyczaił się do ogólnego ześniewowacenia środowiska i siebie samego, zmaganie z kopnym puchem i przedzieranie się przez sypkie zaspy stało się całkiem przyjemną formą rozgrzewki. Tak właściwie, to jedyną formą rozgrzania się był ruch – dopóki nie zapłonęło ognisko, albo nie zdarzył się cud. Ale w górach i o cuda łatwiej.

Magiczny dom w Nowicy. Drewniany, ciepły, gościnny. Stara, połemkowska chyża, urządzona z nowym duchem, ale tam nowe nie wadziło staremu – siedziały sobie razem w zgodzie na zapiecku, obok wielkiego, kudłatego kota. Piec nagrany, kaflowy, wystarczyło oprzeć się oń plecami, zamknąć oczy, i nie było już żadnego mrozu za oknem, tylko ciepło rozpyływało się po całym cieple jak gorąca herbata. Pod stropem, jak szyszki ze świerka, wisiały żarówki otulone abażurami z fioletowego filcu i pęki suszonych ziół, których woń mieszała się z zapachem drewna i gotującego się w wielkim garze krupniku. Ściany obwieszane beskidzkimi aniołami, w oknie witraż w stylu Klimta, na blasze dochodzi woda na herbatę, a tuż obok, w dwóch pękatach baniach syci się wino z dzikiej róży. Po kątach porozpiekane stare szafy, a my wszędzie wokół, leżąc na podłodze, przysypiając na łózkach, krzątając się w kuchni, słuchaliśmy opowieści gospodyni. Krążyły zdjęcia, parowała zupa, a za kurtyną sopli – tam, tuż za oknem, szczyrzyła zęby mroźna noc.

Krupnik zniknął z misek szybciej niż nadzieja na miłosierdzie instruktora, ale słowo „wymarsz” nieubłagane padło i z bólem serca trzeba było iść. Nie wszystko zdążyło doschnąć na piecu, niektóre rzeczy złapały tylko delikatną nutkę ciepła, ale lepsze to niż nic – poszliśmy więc w ten ziąb, w tę noc, ten las.

Zdarzało się nam później tęsknić za cywilizacją, ale coraz rzadziej. Co prawda wyjechaliśmy z miasta już piątkowym wieczorem, ale samo miasto nie opuściło nas tak szybko. Nie trwało jednak długo wyczyszczenie się z warszawskich tęsknot, o nie. Lepszego pożegnania z cywilizacją niż ten dom w Nowicy nie mogliśmy byli sobie życzyć.

Pod cerkwią, przykryte grubym puchem, spały krzyże. Nie zakłócaliśmy na długo ich wiecznego spokoju, przechrzściliśmy się tylko przez cmentarzyk – cerkiewka, zamknięta na amen i kłódkę, nie dała nam do się dostępu.

Przez Nowicę przeszliśmy jak zastęp duchów, mijając najmniejszą w kraju szkołę i cudowne źródło (wino z niego płynęło, albo nam się już po prostu we łbach poprzestawiało), prostą drogą przy akompaniamencie wrzeszczących psów, rażno naprzód, hej, do przodu – i okazało się, że nawet na prostej drodze da się zgubić, a wieże cerkwi potrafią zniknąć pomimo swojej wysokości. Rozpłynęła się we mgle, co poradzisz. It... disappeared!

Nieco później, nieco dalej, nad Przełęczą Małastowską leży spokojny cmentarz. Zimą wszystko wydaje się być spokojne – chyba, że zjawia się tam eskagowscy kursanci. *Zabawy na cmentarzu: poszukiwanie Żyda. Nagroda pierwsza, buziak od Kai.* Gdzieś tam, między krzyżami nagrobnymi chowa się gwiazda Dawida. I nie był nigdy tak zryty śnieg wśród alejek cmentarza, i nigdy tylu ścieżek tam wraz nie wydeptano, i nikt tak spokoju tych żołnierzy nie zakłócił jak my tamtej nocy. Nagroda była tego warta, ale nie pomnę, czy zwycięzcy udało się ją odebrać.

Cmentarz cmentarzem, ale trzeba było iść dalej. Ewelina zmobilizowała nas do marszu, drogą leśną coraz węższą, coraz bardziej zarośniętą, coraz – moment, gdzie ta droga?! Aj tam, idziemy! Las wszędzie wokół, śnieg rozsypuje się kaskadami na wszystkie strony, trochę już senno, ale wciąż rażno – gdy wtęma pada komenda „stop” i zarządzone zostaje pierwszy nocleg.

Nocleg? Ale że tu? Nawet polany porządnej nie ma, po

prostu drzewa rzadziej stoją, jakiś prześwit po zwałonej jodle czy innej choince, nie wiadomo co się dzieje, ciemno, zimno, dziadostwo w ogóle, JA mam tu spać? SPAĆ? TU? W namiocie? Zamarznę, zamoknę, stopy mi odmarnię, posinieją, rano gdy palce trąć kijem to odpadną jak sople od rynny, cholera jasna zginę marnie.

Ale pada komenda, tu namiot, tam drugi, tam ognisko i drewno, ty rozkładaj, a ty po opał do lasu, migiem! No więc do dzieła, jak ręce robią to głowa ma mniej ochoty do myślenia, i wkrótce łopata zakreśla krąg, pojawia się płomień, robi się ciepło i schną mokre skarpety. Morale rośnie do tego stopnia, że daje radę zasnąć mimo chichotów z namiotu obok, przewrócić się na drugi bok i zapomnieć o wszystkim na chwilę. A już za parę godzin...

Do Gładyszowa idzie się wzdłuż ogrodzonego siatką młodnika, w śniegu po pachy, ścieżką, której raz nie ma, a raz jest, przez zielono-biały las. Dalej należy przebyć zamarnięte, przeorane pole, ominąć rząd uli nad jarkiem potoku, po czym dojść do strumienia – cały czas idąc w kierunku cerkwi. Po drugiej stronie rzeczki mieszka uprzejmy pan gospodarz, który ma w stodole most pontonowy, taki pomarańczowy, składany, ładny. Kiedy zjawia się grupa ludzi wychodzących z lasu, pan gospodarz uprzejmie wyjmuje most ze stodoły, rozpiną go nad lodowatą wodą i uśmiecha się uczynnie... Nie? Nie ma mostu? No dobra, drzemmy dookoła tego dziadostwa, trzeba się cofnąć tak z pół kilometra, potem do drogi, na drodze jest mostek, a potem znowu, cholera, kawał asfaltu nadrabiać... A mógł pan mieć mostek.

W Gładyszowie jest cerkiew, jedyna huculska perełka w całym Beskidzie Niskim. Ikony spoglądają z ikonostasu spod haftowanych chust, w środku czuć miły zapach drewna i wosku świec płonących przed świętymi, gdy płomyki modlą się za ludzi. Przed cerkwią wisi jej historia spisana po polsku i po łemkowsku, a dalej, ku zachodowi patrząc, kłusują po białym padoku huculskie konie.



Są takie ogniska, które się pamięta. Niekoniecznie dlatego, że są idealnie ułożone, albo płomień strzelają na kilka metrów wwyż. Tamto było po prostu... wspólne i wyczekane. Zimno narastające w butach nie przejmowało tak bardzo, gdy gdzieś z przodu w lesie kryła się wizja wspólnego ogniska. Ułożyło się w idealny stożek (tak idealny jak tylko można stworzyć ze znalezionych pod drzewem patyków), ogrzało dłonie i herbatę, wysuszyło co wilgotne, dało siłę iść dalej. Dziękuję, Magda. Dobrze je zrobiłaś.

Ale potem było już tylko gorzej. Zimą dzień kończy się szybko, a czekała nas droga przez kolejny szeroki grzbiet, po którego drugiej stronie szczyrzyły kły jaru, jarów cały rój! Sam zaś grzbiet wił się jak przydepnięty wąż, skręcał na wszystkie strony kompasu, przecinał zatopiony w śniegu młodnik – tam i nazad, i jeszcze raz, nierzadko przyszło nam tonąć w zaspach tamtej nocy. Nieco głodni, dość spragnieni, o daktylach i wodzie mineralnej, w której grzechotały grudy lodu, staczaliśmy się w chaszcze, by zaraz powrócić na grzbiet, pod szczyt wzniesienia – nie pomnę już dziś, czy prawdziwy, czy wydumany. *Tour de Pipant* zakończył się jednak powodzeniem, dotarliśmy do szosy wiodącej ku Zdyni. Minąwszy tereny *Łemkowskiej Watry* dotarliśmy na miejsce kolejnego noclegu – ale do snu było jeszcze daleko.

Zdarza się na wyjazdach tak, że pora posiłku niekoniecznie pokrywa się z godziną na zegarku. Czasem bardzo niekoniecznie. Tym razem przyszło nam przygotowywać kolację na śniadanie, gdy wstawały ranne zorze – kierowniczka ogniska miała paskudne zadanie, bo przyszło jej komenderować grupą zombie. Przemily, uczynny klimat tego poranka ubarwiał przepełnione przyjaźnią słowa przygotowujących posiłek:

- *K***a, Maciek! Oblałeś mnie wrzątkiem!*

- *Przepraszam, nie chciałem...*

Tamten wieczór o poranku zapisał się w historii wyjazdu nie tylko podrywem na wrzątek, ale także zmianami personalnymi – opuścił nas niezastąpiony Adam, dotarła zaś Józia, która z zaskoczeniem obserwowała, jak o godzinie bodajże ósmej kładziemy się spać, podczas gdy wedle jej wyobrażeń mieliśmy się szykować do wymarszu. My jednak dreptaliśmy już ku śpiworkom...

Jak kolacja była o świcie, tak śniadanie przyszło nam zjeść o zmierzchu. Herbata zniknęła w termosach, a niebo wypełniły gwiazdy – nie na długo jednak, bo zaraz większość przesłoniły chmury. Prowadzącemu nie przeszkodziło to jednak w wygłoszeniu gawędy o gwiazdozbiorach: *tam jest Orion, tam Kasjopeja, w nocy służy jak kompas; z jednej jej strony Cefeusz, a z drugiej Perseusz się ciągnie, tylko nic cholera nie widać, bo je wszystkie chmury zasłaniają.*

Asfalt drogi zbliżał nas nieubłaganie do granicy państwa, gdzie – już po drugiej stronie, w krainie euro – czekały nas kofola, knedlički i Zlaty Bažant. No, może bez Bažanta, ale i tak zapowiadało się ciekawie. Od samego początku Słowacja odkryła przed nami swoją dobrą stronę – gruszki u sąsiada rzeczywiście są większe, buczki płoną aż miło, śnieg lepiej poddaje się stuptutom i łopatom, dowcipy gładko się opowiadają, tylko czasem zdarza się o naciąg do namiotu potknąć i pokłócić, ale co tam.

Z rańca ognisko buchało aż miło, a tuż za zagajnikiem noclegowym rozciągała się panorama Ondawy, na którą długo można było patrzeć. I trzeba, bo nakazano rozpoznawać pagóry: ten vrch je Smilniansky, tam kicają Zające, ale czy ta Magura, to ona Stebnicka, czy nie? Siedzieliśmy na plecakach pośrodku pola wyslizganego wiatrem, które wyglądało jak miniatura pustyni śnieżnej – esy-floresy białego piasku falowały dookoła nas niczym na dziewiczej tafli zamrożonego jeziora. Beztroski zachwyt nie trwał jednak długo, bo natura już wkrótce miała nam ukazać swoje drugie oblicze. Nietkniętą połąć pola prze-

cięły nici tropów, wijąc się, krzyżując, przecinając; zagęszczały się tuż za wzgórkiem, na osłoniętym stoku jaru. Już ze skraju między zobaczyliśmy rozchlaną wkoło krew, zamrożone strugi na żółkłych tykach tataraku, czerwone sople i krople zatopione w śniegu. Nie doszliśmy do dziś, czy była to sarna czy łania, ale ślady wokół niej z pewnością pozostawiły wilki.

Piszę tak wciąż o tym śniegu i śniegu, wydmach, łachach i czym tam jeszcze, i zazdroszczę przy tym bardzo Eskimosom, którzy słów na jego określenie mają kilkadziesiąt – i wcale im się nie dziwię, gdyż po tygodniowej wędrówce przez zimowy las zaczyna się zauważać tegoż śniegu różne odmiany. Jest mięciutki puszek, sypki piach, mokra, kleista breja, wodna ciapa, jest złodowaciały grys, szklana tafla, pod którą chowa się mialki puder, szreń, gruba i pewna, która utrzyma stopę bez rakiety śnieżnej, lodoszreń, po której można by ślizgać się jak na łyżwach, jest rozdmuchany wiatrem (erozja wietrzna śniegu!) cukier puder, i więcej – znacznie więcej, a wszystkie one zmieniają się, kumulują w warstwy z każdym kolejnym opadem, topią, zgniatają i przenikają. Przez kilka dni marszu jak na dłoni widać wpływ pogody na to, co leży pod nogami, rzut oka wystarczy, by wiedzieć coś za śnieg leży dookoła – i którędy pójść, by się nie zapaść, nie poślizgnąć, a stopa mogła przejść pewnie i bez szwanku. Gdyby tak nabrać więcej doświadczenia w zimowych wędrówkach, bez trudu można by i przewidzieć stan pokrywy na następne dni i odpowiednio zaplanować trasę.

Dość jednak o tym, bo znienacka dopadła nas cywilizacja!

Nieświadomy niczego kierowca autobusu zajechał na przystanek kończący trasę, ślizgając się oponami po oblodzonej drodze. Cicha wieś położona w końcu doliny zapewne nie kojarzyła mu się dotąd z wielością pasażerów – a tymczasem na przystanku czekała banda od trzech dni niemytych, solidnie uwędzonych ogniskowym dymem wielbłądów z garbami jak grzechy całego świata. Na szczęście zwalili się w końcu autobusu, ale i tak lokalni mieszkańcy wsiadając do pojazdu woleli odgrodzić się od czadowej bandy kilkoma rzędami pustych siedzeń.

Tymczasem – zasady zabawy są dwie: nie można odebrać nóg od swojego miejsca i nie można berkować sąsiada. Poza tym dozwolone jest wszystko: korzystanie z otoczenia, wieszanie się na poręczach, pełzanie pod fotelami, opieranie o współpasażerów, ciągnięcie za włosy – to bardzo kreatywna gra. Jest też w stanie zapełnić ponad pół godziny nużącej jazdy autobusem, gdy wszystkich zaczyna ogarniać zmuła. Berek w autobusie, bo o nim piszę, był sztandarową grą zimówki, ale nie jedyną – o tym jednak później.

Niezależnie od uczuć miejscowych wobec nas, my mieliśmy się wspaniale – dotarliśmy przecież do miejsc mniej dotkniętych akcją Wisła, gdzie wciąż rozdroży chronią krzyże malowane w blasze, a Chrystus jest zwany żydowskim carem. Tutaj święci w cerkwiach opisani są swoją własną odmianą cyrylicy, która – jak się zdaje – w każdej świątyni jest inna. Lokalny alfabet, zmieniający krój i detale niemalże co dolinę, nadaje całości niesamowitego klimatu. Tym przyjemniej jest zasiąść w ławach pod gontowym dachem, gdy wizycie w cerkwi towarzyszą dwie starsze panie i przenika się atmosfera poważnych spojrzeń

świętych, dostojęstwa złotych zdobień, ciężkich barokowych zawijasów; a z drugiej strony bucha para spod żelazek i tkaniny ołtarzowe prasują się na starych deskach, przy szczerym zdziwieniu naszych gospodyń: ale jak to, w zimie przez las, a wy nie na nartach? Jak to tak? Po raz kolejny okazało się, że człowiek z człowiekiem się dogada, tylko dobrej woli potrzeba, a język to już drugorzędna sprawa.

Nagle przed oczami pojawia się rączka od kijka, a z offu słyhać spikera: *Witam, witam, tu Radio Wolny Małuch, czym pan się dziś z nami podzieli? Nic pan nie powie, a, przepraszam. Prowadzimy dzisiaj audycję zamiejscową, oto za oknami przesuwa się słowacki krajobraz, śnieg, góry, lasy, stan pokrywy ocenia się na idealny. Wiadomości z kraju i ze świata...* – podcast trwa w najlepsze, rączka od kija – czy raczej mikrofon trekkingowy – krąży wokół, chłonąc słowa wywiadów, pozostaje tylko przymknąć oczy, podgłościć odbiornik i posłuchać. Audycje RWM FM umilały nam czas przez całą długą zimówkę. ...*nadajemy na falach długich w całej Europie i Azji Centralnej, od Alp po Pamir, tymczasem dziękuję za uwagę, do usłyszenia Państwu!*

W Świdniku szok cywilizacyjny uderzył najmocniej, gdyż nadszedł czas na grubsze zakupy. Porwanie wózka ze sklepu w stylu 11. września zakończyło się sukcesem, ale obyło się bez eksplozji dworca. Grunt, że przybyliśmy, zobaczyliśmy i zjedliśmy co trzeba. Wieczorem tego dnia dopadł nas jednak potężny dylemat, gdy kręcąc się po wsi mieliśmy do wyboru kolejną na trasie cerkiew lub z drugiej strony drogi dom zgoła publiczny, pub w sensie. Przy okazji o mało co nie postradaliśmy rogalików w czekoladzie, nieszczęśliwie pomyłonych ze śmietami. Ale na wyjeździe nawet ciastka ze śmietnika nie smakują źle. Tak przy okazji, wcześniej w podobny sposób pożegnaliśmy cukier: O, a co śnieg robi w tej butelce? Po co to komu? – i szust w zaspę, auf wiedersehen Herr Zucker, do końca wyjazdu herbatka na gorzko.

Cywilizację i Słowację pożegnaliśmy z klasą – knucia i szemrania kryły się w cieniu siedzeń już gdy przejeżdżaliśmy dolinami pogranicza, zbliżając się ku przełęczy Dukielskiej. Plan nabierał kształtów na drodze prowadzącej ku wzgórzom działowym za Wyżnym Komarnikiem, gdzie zaspasy czekały na umówiony znak. Ukradkowe spojrzenia, półsłówka, skinienie spode łba, i nagle:

ZWAŁKA!



Nikt jej nie uszedł, nawet instruktor. Czerwony polar wgnietliśmy w śnieg z całą sympatią, jaką – z wzajemnością – obdarzyliśmy Pawła przez dotychczasowe dni przejścia. Tchu może i zabrakło, ale żadne żebro nie zostało złamane – bo zwałki robić to trzeba umieć!

Tymże ośmieleni i rozochoceni podążyliśmy wzwyż, ku granicznym grzbietom z pieśnią na ustach – a szanty nigdzie nie brzmią tak dobrze, jak w górach. Pnie ustawiały się w korytarze szerokie jak dla powozów, brzozy zwodzone otwierały przejście przy białych fontannach iskrzących się w świetle lampek, i tak nam się wtedy dobrze szło, jak nikomu innemu na tym szlaku...

Dopóki ktoś się nie zorientował, że to drzewo to my już chyba mijaliśmy. Problem. Te ślady chyba też są nasze, tylko skąd one prowadzą? I który raz my tu jesteśmy? Głupio tak trochę, w kółko się kręcić...

Przewodniczka podjęła wtedy odważną decyzję i pewną ręką sprowadziła nas ku rozjaśnieniu pod gigantycznymi jodłami, których pnie jak maszty wystrzeliwały w górę, daleko poza zasięg naszych czołówek. Kolejne ognisko, namioty wszędzie wokół, rozprstrzone daleko od siebie wśród drzew. Pospaliśmy jak dzieci, i spało się nam tak błogo, że nikt, ale to nikt nie spodziewał się tego, co miało nadejść – gdyż właśnie te gałęzie spiętrzone nad nami, by nadziewać promienie na szpilki, miały nam przynieść zgubę.

Szeregowiec Ryan lądując w Normandii na tyłach wroga nie czuł się wtedy tak zagrożony jak my – obozowisko rozbiliśmy o jeden most za daleko, pośrodku bombardowanego Starego Miasta powstańczej Warszawy. Nalot rozpoczął się jeszcze wśród ciemności. Na śpiących kursantów poleciały z nieba pociski, rąbiąc w namioty, waląc po stelażach, budząc przestrasz i niepewność. Ciężkie działa wytoczył na nas las tamtego poranka, kiedy jedliśmy powstańczy posiłek. Nikt nie wiedział, gdzie spadnie następny pocisk. Nie było pewności, czy to miejsce, w którym stoisz, jest bezpieczne. I nic nie pomoże na to złudne przekonanie, że skoro tu już zielej lej po bombie, to druga weń nie trafi – a skądże! Mokre grudy wielkie jak łby kalafiorów, albo i większe, ześlizgiwały się z gałęzi, tłukąc niemiłosiernie we wszystko, co leżało poniżej. Głowy, kaptury, menażki, termosy; nic nie było bezpieczne. Raz po raz obrywało i ognisko, syczały przygaszone węgle, a popiół obsypywał wszystko dookoła. Nawet instruktorskie śniadanie dostało śnieżną pacyną. To był znak, że trzeba było ruszać dalej i to – natychmiast!

Tego samego dnia okazało się, że Przemek jest mądrzejszy od zwierząt. Otóż zeszliliśmy z pasma granicznego w stronę wsi Zyndranowa, przez którą bystrą strugą prześmyka Panna. Tę to panienkę trzeba nam było przebyć, a widzieliśmy z dala, jak przejeżdża przez nią traktor, doszliśmy więc do wniosku, że na miejscu nie powinno być z tym większego problemu. Stanęliśmy na popas i panoramkę, aby po raz kolejny poczuć tę cudowną fuzję kabanosa z czekoladą, a w międzyczasie opuścił nas Przemek, jako że miał lepsze zajęcie na następne dni niż spanie po krzakach i tarzanie się w śniegu. Przerwa przeminęła, przyszedł czas na sforsowanie strużki – tak na półtoorej kroku szeroka, obrosła lodem, zachaszczona na brzegach, pełna wychylających się ponad taflę prądów – taka to panienka. Uprzednio widziany ciągnik przebył ją nie po mostku, jak nam się zrazu wydawało, a w bród – po przemiale. Tu

i ówdzie sterczały szypoty, ale skakanie z jednego na drugi nie wróżyło niczego dobrego, co najwyżej rychłą kąpiel. Uratowały nas dwa tropy, jeden zostawiony przez psa czy lisa, drugi przez kawał marynarza z gór. Zwierzaczki mają ponoć instynkt i potrafią wyczuć najlepsze ścieżki, pierwszy ślad wiódł jednak wzdłuż pionowej niemal skarpy do lodowego mostku nad nurtem, który liska to by i utrzymał, ale człowieka z plecakiem już niezbyt (pode mną prasnął). Podążywszy Przemkowym tropem dotarliśmy do zacnego przejścia, które udało się przebyć wszystkim – co pomniejsi mieli jednak mały kłopot ze ścianą zmrożonego piachu po drugiej stronie, obojętne się jednak bez sprzętu wspinaczkowego, tak też Pannę zarwaliśmy a'la Przemek.

Nieco później, nieco dalej, na zupełnie innym prowadzeniu:

- *Gdzie jesteście? (the ultimate question has been asked):*

- *Na szczycie, zaraz z niego zejdziemy, na północny wschód, a potem na północ* – powiedział kursant, po czym poprowadził grupę ze szczytu pod górę – tak się rozpoczął burak po Leżajsku. Zawierał on w sobie zwiedzanie jara, torowanie na czworakach, niezliczone zawijasy na trasie prostej jak strzała i absolutnie niekanoniczne podążanie z boku, podczas gdy grzbiet był tuż obok – ale w końcu wyszliśmy z lasu w bojowym nastroju, podsycanym przez światła Jaślik w nieodległej dolinie pod masywem Kamienia – Bieszczadu.

Noc. Ciemna. Błyszczą się tylko garstka gwiazd, księżyc dopiero przepelzał z nowiu w pierwszą kwadrę. Na poboczach ogołocone z listowia chaszcze, nagie gałęzie od czasu do czasu trykają się sękami, w rowach stoi ścięta lodem woda. Przydrożny Chrystus broczy spod gwoździ kamienną krwią. Nagi wisi, gdyby go nie byli przybili, drżałby pewnie z zimna. Żadnego zapachu w powietrzu, tylko mróz. Szutrową drogą ciągnie zmizerowany korowód, żwir chrzęści im pod stopami, podeszwy kruszą zamrożone kałuże. Idą, wleką się, na północ. Zmęczeni są, błakali się po lesie całe popołudnie, niektórzy padają z nóg, słabną, innym każdy krok przynosi ból. Cisza, tylko gałęzie obijają się na wietrze i chrzęści żwir. Czasem gwiazda błysnie w skruszonym lodzie kałuży.

Ale są, tam, na końcu drogi, czekają Jaślika, ciepły nocleg już w zasięgu nóg i zaraz tam dojdziemy! No i dotarliśmy, ale jakoś tam tak dziwnie, choć miło – ciepło, bo jak to tak, że woda sama ze ściany leci (zimna, ale taka przecież ma być), a nie trzeba jej z jaru nosić? I łóżka jakieś miękkie, o co chodzi? Cywilizacja jednak rozmiękcza człowieka, dopiero w lesie można się odnaleźć.

Schroniskowa jajecznica smakowała wyśmienicie, jak wszystko w górach. W ogóle żarcie mieliśmy świetne, dzięki temperaturze mrożone warzywa niosły się w plecakach świeżutkie pierwsza klasa, a na ogniskach dziewczyny wyczyniały w garach istne cuda. Mając w pamięci inne wyjazdy kursu, pod względem spożywczym zimówkę wspominam najmniej – wtedy jadło się i najlepiej, i najwięcej. Dookoła posiłków powstał cały rytuał, czy to tych dużych na ciepło, czy to tych przekąsanych na przerwach. Ostatki, żeby każdy był piękny i gładki, uczynnie rozdzielaliśmy grając w złośliwca: Nie dam daktyla Łazarzowi, bo prowadził nas przez chaszcze. Ewentualnie można było się podzielić po równo – takim niesamowitym gestem przyjaźni

każdy dostawał po skubince krówki, gryzie kabanosa albo ogórka. Ogórka przyjaźni ciężko było pobić oryginalnością, ale jednak krówka wygrała. Pamiętam tę tycią kostkę cukierka, która dotarła do mnie obgryziona już przez kilka osób, zaśliniona i podmarznięta, ale wciąż pyszna jak nic na świecie.

Równie niezapomniane jak krówka przyjaźni są Łazarzowe herbatniki z kajmakiem, pokruszone i suche, ale tak dobre – i ta masa z puszek, co lepiła się do palców; stary, jesteś geniuszem. Nie wspomnę nawet o kaszy kuskus a'la Łazarz, bo to osobny rozdział górskiej książki kucharskiej jest. To po prostu trzeba przeżyć – wśród ciepłej, nasączonej dobrze kaszy skryte są bakalie, tam między plasterkami banana krojonymi od serducha znajdzie dusza czego pragnie: jest wsiekany daktyl, nerkowiec, skrojone orzechy, obowiązkowe rodzynki i śliwkę suszoną oblewa miód, a po wierzchu sprószone to cudo cynamonem i szczyptą imbiru – mistrzów to śniadanie i bogów nektar.

Kabanosy swój właściwy smak uzyskują już tylko w połączeniu z czekoladą, a krupnik w chrypie smakował wszystkim, nawet tym, którzy zazwyczaj nie biorą go do ust. Takie jest jedzenie w górach, gdy zima pokryje je śnieżnym płaszczem.

W Jaślikach dołączyła do nas nowa krew – dwójka kursowych kolegów i lepsza połówka instruktora. Wyglądali wśród nas jakoś tak dziwnie, z błyskiem w oku, wyspani, bez worów pod oczami, śmiali się z byle czego, mieli puszyste włosy, świeże ciuchy i w ogóle jacyś tacy czyści byli. Nie wiem dlaczego, ale odstawali od nas, i to wyraźnie. Jako że miszong w kadrach rozstrajał nam ustaloną hierarchię, dla zachowania stabilności w grupie oparliśmy się na starej europejskiej zasadzie, mianowicie instruktor mojego instruktora nie jest moim instruktorem! Ot, co.

Rankiem zostaliśmy porwani na ekskursję po Jaślik śróddroży, gdzie to od Eweliny historię miasta owego dane nam było poznać. Także zdarzył się Niemiec jeden, germańska jego mać, co w te strony zażrzał czasu swojego, a zima była podówczas sroga, jako i ta nasza. Dnia tego gościnniec oblodzon był wielce, a lud o tym wiedział, krzyczeli więc mieszczanie głosem gromkim, że śliską jest droga, co by się ów Germanin, niemiecka jego mać, na ostrożność zdobył i nie rozpędzał zbytnio, z konia swego zsiadając. Ten jednak, polskiej mowy mało wiedząc, zeskoczył z bachmata jednym szparkim susem i – jak na lodzie mu zelówki nie zatańczą, a rzyć o ziemię nie grzmotnie! Tak to się niepolityczną częścią ciała ów Niemiec z miastem przywitawszy, rzekł do mieszczan – Ja, schliska!, rację im przyznając – i od tej drogi oblodzonej i wypowiedzi niemieckiej miało miasto pośród Beskidu wziąć nazwę swoją. Tak przynajmniej usłyszeliśmy od Eweliny, spacerując w cieniu wieży kościoła, a potem wzdłuż pozostałości miejskich murów, aż do rynku.

Trafiliśmy też do sklepu. Wchodzimy do środka, a tam bogactwa w bród! Tyle wygra! Świeżych owoców nie widzieliśmy chyba z tydzień, batoniki, napoje, co tam jeszcze! I nagle spada na człowieka to uczucie, że tak właściwie jak w lesie siedział, to mu niczego z tych dóbr nie trzeba było. Popatrzyliśmy się po sobie, tak trochę dziwnie i głupio nam się zrobiło, ale każdy wziął po kawałku, tylko żeby kupić i z pustymi rękami nie wyjść, bo to nie pasuje. Już przed drzwiami sklepu z zakupami w rękach spojrzaliśmy

na siateczkę w dłoni i obcość cywilizacji ukazała mi się po raz kolejny, jak ta woda ze ściany. Rano ciepła nawet.

Ale żegnaj nam, cywilizajo, bo oto przecież przejście nie skończone jeszcze i w góry nam trzeba. Na przełęcz Szklarską dotelepaliliśmy się pocziwym Autosanem, kierowca zatrzymał się uprzejmie pośrodku niczego, my zaś poszliśmy przez śnieg, ku zachodowi. Tam też musi być jakaś cywilizacja, ale my i tak wolimy bez.

A w lesie ognisko płonie, prawdziwe ognisko zimowe. Takie nam się miejsce trafiło jak nigdzie indziej podczas tamtego wyjazdu – na Popowej Polanie łopaty pracowały do wieczora, drążąc jamę w zaspie zaraz za grzbietem, szufla za szuflą, coraz głębiej, aż kopiących widać było coraz mniej – znikali w dole, po kolana, po biodra, po pas. W ruch poszły – nie pierwszy raz – pokrywki, żeby robota poszła szybciej. Łopata przez cały wyjazd była luksusem, krążyła z rąk do rąk, przekazywana z nutką zazdrości. W końcu, gdy po ostatnich szlifach głęboka na dobre półtora metra jama przybrała pożądany kształt, urządziliśmy na dnie ruszt pod palenisko, a wokół niego wygładziły się siedziska. Tak powstał śnieżny amfiteatr, pośrodku którego zapłonęło ognisko tak żywe i żarłoczne, tak gorące i rozżarzone, że kiedy ugotowaliśmy na nim obiad i herbatę, siedząc przy nim – tak jak dotychczas na każdym postoju suszyłem swoje gnaty – tym razem musiałem nacierać spodnie śniegiem, bo czułem jak opiekają mi się golenie i kolana. Wtedy to zakrążyły kiszone ogórki przyjaźni z worka i można było szczerze delektować się zimą.

Wyobraźcie sobie ludzi, którzy od sześciu dni leżą przez góry zimą, są zmarznięci, nieco przemoczeni, śniegu pewnie mają po dziurki w nosie, co? Nic bardziej mylnego! Każda nadarżająca się sposobność do turlania, tarzania i czołgania jest skrzętnie wykorzystana – a czołganie jest szczególnie atrakcyjne: każdy z każdym, na każdym i pod każdym, wszyscy lecą na siebie, po sobie, jeden przez drugiego, w dół zbocza, zostawiając ślad jak wielka gąsienica ratraka. Czołganie w śniegu rozgrzewa.



A jak komu mało rozgrzewki czołgowej, można zawsze pobiegać po polach jak roboty, co z boku wygląda tak: dwóch pacanów brnie przez największe zaspy sztywnym krokiem (coś jakby im gacie zamarzły), a trzeci lata od jednego do drugiego klepiąc ich po ramionach, ci odwracają się od niego, leżą w jeszcze gorsze wydmy albo grzebią się w chaszczach, a na koniec, jak w końcu pójdą w swoją stronę, uderzają się głowami, a ten trzeci klapie na śnieg

dysząc jak lokomotywa. Roboty osiągnęły wyższy poziom po wizycie na dukielskim targu, gdzie z garnka, pokrywki i Jędrka stworzyliśmy Robocopa, ale to już inna historia.

Na szczyt szczytów wspięliśmy się na rzeszowskim dworcu – tam skakały kucyki, jeździli kowboje, krowy się doily aż trzaskały wymiona, aż w końcu strażnicy nie wytrzymali tej dawki abstrakcji i kazali nam w imię Cisy, Spokoju i Ładu Publicznego wynosić się w cztery diabły. Ale i tak zabawa była przednia. Jeszcze tylko jeden nocleg, w górę źle wytyczonym szlakiem, pod grzbiet i nad urwisko. Jest takie miejsce w Beskidzie Dukielskim, gdzie można, stojąc na pewnej ziemi, patrzeć przed siebie wprost w korony wielkich buków. Byleby nie postąpić kroku, bo kawałek naprzód grunt się kończy i leci kilkadziesiąt metrów w dół. Zimą cały ten urwisty grzbiet obrastają nawisy, wystające ponad przepaść, także tu akurat warto jest się trzymać ścieżki. Całe pnie, gałęzie i gałązki obrosły szadzią jak szpilkami. Przeszliśmy przez szczyt w wyśmienitym humorze, aż do Złotego Źródełka i dalej, ku przełęczce strzeżonej przez Maryjkę z kamerkami w oczach. Tak przynajmniej wydedukowaliśmy – pobliska tabliczka informowała o monitoringu, bo teren prywatny – a nigdzie indziej nie było miejsca na kamerę, tylko na kapliczce.

Na przełęczce pożegnaliśmy Ewelinę, ale by nie rozpaczać po stracie zbyt długo dostaliśmy zadanie bojowe: manewry ogniowe! Litry wody trzeba było zamienić we wrzątek w tempie ekspresowym. Wygrała drużyna Grzeska, a na wrzątku zrobiliśmy chomikowany od początku przejścia barszcz.

Po manewrach ogniowych, kiedy schodziliśmy już w dolinę Jasiołki, i dalej drogą do Dukli, ogarnęło nas (a przynajmniej mnie i Łazarza) potworne przeświadczenie, że oto zakończyła się już nasza zimówka, choć formalnie nie był to jej koniec. Opuszczaliśmy las i góry, nie było już dla nas perspektywy noclegu w namiocie, porannego naciągania zlodowaciałych skarpet, przesiąkania ogniskowym dymem, wieczornej nadziei na suchy śpiwór. Koniec rąbania drewna, koniec przesiadywania na plecakach, koniec tego życia, które – choć ciężkie – urzekło nas do głębi. I mimo tego, że schodziliśmy do ciepłego schronu, do miękkich łóżek i suchego noclegu, było nam żal całej tej reszty. Schodząc coraz niżej i dalej ulicą, widząc stałe, mocne mury, równe i równiejsze rzędy drzew, gładko poukładane płyty chodników i coraz szerzej rozlewający się asfalt, wiedzieliśmy, że moglibyśmy jeszcze przez tydzień siedzieć w lesie i zrobilibyśmy to z największą przyjemnością.

Dotarliśmy do cywilizacji. Ludzie z drogi, głodni, czymś ich trzeba było nakarmić – coś, z zapasów zostało już tylko i wyłącznie coś – coś, co ktoś zagrzebał na dnie plecaka i o tym zapomniał, coś, co nie pasowało do żadnego posiłku, coś niesionego cały tydzień jeszcze z Warszawy – słowem, mieszanina jak na zaciągu do Armii Czerwonej. Coś z tego czegoś trzeba było jednak uczynić, tak więc obiad cywilizacyjny, przy stole, w pełnej kulturze, z dwóch dań złożony i pod nos podany ugotował się i w talerzach pojawił. Okazało się, że makaron da się jeść z ziemniakami, a grzybowa wyśmienicie sprawdza się jako sos. Później jednak, gdy na drugie podana została zupa, miny zrzedły, albowiem był to barszcz na żwirze. Czy raczej – ze żwirem (i chciałbym w tym miejscu podziękować wszystkim za zjedzenie tego czegoś bez słowa pogardy, należą Wam

się ordery za męstwo).



Po obiedzie ludzie rozeszli się, każdy w swoją stronę, a najprzyjemniej było tam, gdzie grała gitara. Zachachaliśmy ją harcerzom z hufca dzielącego z nami schronisko – piękny Epiphone z palisandrowym gryfem śpiewał sam, wystarczyło ułożyć na strunach palce. Kaja ujęła go

w dłonie, zagrawszy kilka akordów przerwała, by sprawdzić dalszą melodię w śpiewniku – my jednak śpiewaliśmy dalej, a capella, unisono, a gitara leżała na stole i milcząco, słuchała. Gorącą parą buchały prysznice w sklepionych łukami łazienkach, kusiły ciepłe materace i suche koce – niektórzy odeszli już w błogi sen. Inni w przygotowaniach przed zejściówką studiowali mapy i pilnie czytali referaty, na piętrze zaś brzmiały rozmowy, grzejniki obłożone były schnącymi wkładkami, spod zasłon zwisały girlandy skarpet, linoleum skrzypiało pod nogami. Brzmiała gitara, pod stropem unosiły się dźwięki piosenek, które każdy nosi w sobie, ale nie daje im się na co dzień wyśpiewać, dziewczyny rozdzielone do legginsów siedziały po kątach wśród lepkich plotek... Ciepły był to wieczór, jak miód gryczany gęsty i słodki, taki, który w pamięć zapada i już tam na długie chwile pozostaje. *Dobry był ten ostatni, górski wieczór dukielski.*

A potem wróciliśmy do Warszawy, ale ta bajka wcale się nie skończyła. Trwa za każdym razem kiedy Was widzę, i trwać będzie dopóki trzymamy się razem, Przyjaciele.

Góralom z Warszawy – Ewelinie, Maluchowi, Józii, Magdzie & Magdzie, Kai, Paulinie, Gabrysi, Łazarzowi, Przemkowi, Piotrkowi, Grześkowi, Mikołajowi, Jędrkowi i oczywiście Pawłowi i Marcie – Maciek, Leżajsk 2014. ■

Najgorsze chwile Michała B. podczas XXVIII Kursu Przewodników Górskich

Michał Bekey



Słowa Instruktora należy traktować poważnie. Ten stary kursowy nawyk kierował mną kiedy na prośbę Marty zdecydowałem się wydusić z siebie coś do Biuletynu SKG. Dawno nie byłem w gronie kursowym, tęskni mi się bardzo za Wami i tym pełnym przygód życiem kursanta! W niniejszym tekście usiłuję przedstawić kilka z tych chwil, które najchętniej przypominam sobie i jestem z nich najbardziej dumny. Zapraszam do czytania o **NAJGORSZYCH CHWILACH Michała B. podczas XXVIII Kursu Przewodników Górskich. :-)**

Kursówka, koniec listopada, późna noc, Beskid Niski, Góra Męcnińska

Bez szczegółów, schodzenie z tej zarośniętej, mglistej, płaskawej góry było takie okropne, że wierzę, iż wnioski wyciągnięte z tego prowadzenia starczyły na zaliczenie wszystkich przejść kursu. Pierwszy wniosek – wyrzucić kompas, kup nowy!

Kursówka, początek grudnia, Beskid Niski

To było super, zaczęliśmy gotować obiad przed północą, około piątej rano był on gotowy do spożycia, po czym położyliśmy się spać na trzy godziny do namiotu, gdzie wszystko było tak mokre, że szkoda było śpiwora, spałem bez... Następnego dnia cud, deszcz ustał, widoczność powyżej dwudziestu metrów, po godzinach marszu pojawiły się pierwsze suche płamy na butach. Dochodzimy do potoku, który ostro zakręca w tym miejscu, jest bród dla samochodów, z drugiej strony widać drogę. Przechodzimy. Lodowata woda wlewa się do butów od góry. Wszyscy przeszli, ruszamy. Po dwudziestu metrach, za zakrętem rzeczki wracamy pięknym mostem na drugą stronę i do domu!

Zimówka

Zimówkę odbyłem w swoich jedynych, tanich, lekkich, letnich bucikach górskich. W związku z tym ze względów ilościowych omijam opis najgorszych chwil.

Wiosenne

Kursant Michał B. skulony na plecaku drzemie snem sprawnym, nic nie wiedząc o wrogim świecie, a zwłaszcza o tym, „gdzie się dokładnie znajdujemy w terenie, pokaż rogiem kompasu...”. Budzi się, słysząc słowa Instruktora: „A teraaaaz, poprowadzi naaaaas... Michał B!”. YEAH!

Letnie, Ukraina

Aha, nareszcie, tu chyba koniec tych cholernych krzoli. Więc to ma być połonina... hmm, szkoda, że nic z niej nie widzę, widzę chmurę. Chmurę już widziałem, połoniny nie, na Węgrzech ich nie ma. Nad nami też musi być chmura, inaczej nie লাoby tak piekielnie... Jaaaka wysoka ta trawa. Łohohooo, coś kapnęło mi z buta, chyba są pełne. Nie, nad nami może nie ma chmury, ona musi być obok, bo deszcz pada, ba – lata – poziomo. A wczoraj było tak ciepło... A w domu jest tak ciepło, no i ta susza, jak zwykle. Nie dziwię się, Węgry otaczają góry jak ta, a tu, jak widzę, atmosfera wytraca swoje caluteńkie zasoby wody. Nie ma sprawiedliwości...

O pięknie, koniec trawy. A to, co to jest, to takie, co tu rośnie? Łaaał, jagody, jagódki, znaczy one dojrzewają teraz, Letnie, akurat w najlepszą porę. Trzeba spróbować! AAAAŁŁŁA, plecy, plecak, to boli! Ten plecak na sucho ważył dwadzieścia osiem kilo, teraz nasiąknięty jak gąbka będzie powyżej trzydziestu, to połowa mojej wagi. – Dobra, smakuje! – Szkoda kręgosłupa, zresztą plecak był tani, nie wiem, czy wytrzyma dłużej niż ja. – Hmmm, niezła! – Jestem kopnięty chyba! A wy? A wy też, moi drodzy! Kto to w ogóle wymyślił? I to już XXIX kurs, trzydziści lat masakry, całe pokolenia kopniętych!!! – Cóż, plecy bolą, ale po taką jagódeczkę opłaciło się schylić! – Biedny Mirek, prowadzenie w takich warunkach to masakra, aaa tam, biedny ja! Ja idiota, co tu robię? – Aaaale krzaczek, piękny... daj mi spokój zamku! Co? Ja zamykam?! – „JEEEEEST!!!” – Chyba nie usłyszał, za bardzo wieje. Ten gwizdek to dobry pomysł! Mirek... Mirek!!! Zlituj się, zrób coś, chcę do domu! – Jaka dojrzaaaała, super! – Nie, on musi iść, ma ciężko, to letnie, trzeba iść, trzeba zaliczyć! Niestety. Matko, to jeszcze dwa tygodnie! – O, ty byłaś kwaśna, ale za to aromat extra! – Głodny jestem, śniadania kursowe są do kitu. To jest okropne. – „JEEEEESTEM!!!” – Aaa tam, bywało gorzej. Tak,

bywało, ile razy przysięgałem, że na następnym przejściu kursowym, na następnym i wszystkich następujących mnie nie będzie! A teraz, proszę bardzo, masz za swoje! – Jagódka. – Całe szczęście, że to nie ja prowadzę, nie wiem, co bym zrobił. – Paweł (instruktor): „Staliśmy tu, bo chciałbym, abyście po kolei powiedzieli mi, co byście zrobili jako przewodnicy w tej sytuacji.” – No to super, zlażbym z tej cholerniej połoniny i po trzech przesiadkach koleją wymaczałbym skatowane plecy w Balatonie! Zimno tu, chyba nie damy rady. – Jak fajnie, patrz, leżąc za plecakiem mam w zasięgu całe mnóstwo jagód. Tylko nie deptać mi tutaj! Palcem nie trzeba ruszyć i już garść nzbierana! – No właśnie, palce nie ruszają się, a to przecie nie zimówka, to miało być lato!

– Paweł: „Michał B., teraz ty powiedz!” – To cholera, to problem, jakie było pytanie? Aha, pamiętam: „Więc, eeeeeem... teoretycznie... ja bym... blablablabla bla bla... w tej sytuacji... eeee... bla bla... nie wiem, bo... blablala... eeee... tak naprawdę, bla... eee... bo grupa... eee... blabla... no i ta pogoda blabla... ..”. „Dobrze, dziękuję” – No tak, notuj, notuj! Instruktor, jak zwykle, wodoodporny, wiatroodporny a drukuje jak nic! Zeszycik wszechwiedzący dowie się prawdy o kursancie Michale B... Ciekaw jestem, co inni powiedzieli. Dajcie mi jeść! No nie wiem, może i dobrze powiedziałem, tylko że, nie wiem, chyba... eh, co ja w ogóle powiedziałem? Pewnie Paweł wie. – Fajnie, jak się nzbiera całą garść i je się je naraz, to smak jagód rozlewa się we mnie, czuję je chyba nawet w palcach u nóg. – Ciekawe, wszystko będę miał wyprane po tym dniu ulewy. – Co tam, naiwny jesteś! Po tych dwóch tygodniach ulewy. A łapy będę miał fioletowe po łokcie.

– Co, dobrze słyszysz? Strzelec prowadzi, obiad, schodziemy? No dobra, może przeżyje!

Serdecznie ściskam Was i Boldog Karácsonyt z Budapesztu! J ■

Miśkowców Groń Hardcore Winter Expedition

Adam Cieślik

Środa. Wieczór. Tuż po wieczorynce.

Zadzwonił telefon...

...I już miałem chwycić za słuchawkę, już chciałem wcisnąć klawisz „odbierz”, gdy usłyszałem przeraźliwe „MIAAAUUUU!!!”, a następnie straszny huk i odgłos spadających przedmiotów. Z całej kakofonii dźwięków zdołałem wyłonić jedynie brzdęk dzwonka rowerowego... Po woli, niespiesznie wykonałem obrót, bojąc się widoku, jaki ujrzę.

Lęk mój okazał się uzasadniony.

To zadziwiające, ile szkód potrafi wyrządzić jedna mała kotka z ADHD. Przewracając w niewiadomy dla mnie sposób rower, zwała z szafki jeszcze kolumnę od wieży. I samą wieżę. I drugą kolumnę także. I świeżo posklejane i pomalowane modele. Rozgardiasz był nieziemski, chaos niepodzielnie zapanował w moim pokoju, a mój stan emocjonalny najdelikatniej można określić słowem „podeenerwowany”.

Zacząłem liczyć do dziesięciu, następnie do czterdzie-

stu...

...I pewnie liczylibym tak i do tysiąca, gdyby nie dzwoniący ciągle telefon. Dobra, pomyślałem, kot pożyje jeszcze trochę. Odebrałem. Okazało się, że to Paweł. Mocno rozemocjonowanym tonem powiedział mi, że autokarówka nie doszła do skutku i należałoby skoczyć gdzieś w góry, coby nie siedzieć w pięknej „Stolicy” i nie wdychać spalin. Co prawda plany na weekend już miałem, ale ostatecznie przekonał mnie skład grupy: Paweł, Cobelto, Aśka Sznigir i Ja. Zacni towarzysze, a kameralność wyjazdu wykluczała tłok, harmider i tzw. rozwolnienie decyzyjne grupy.

Pakowanie, odwoływanie spotkań, zmiany planów i już nastał nam piątek – dzień wyjazdu. Dworzec Centralny. Kiedyś, w latach jego „świećności” musiało to być ładne i nowoczesne miejsce. Teraz kojarzy się raczej z często niedziałającymi ruchomi schodach, zapachem smażonego mięsa czy przypalanych frytek i kawą z automatu. Widoku nędzy i rozpacz dopełniają porozrzucane na podłodze resztki jedzenia. Oprócz drażnienia zmysłu węchu, dostaje się też po uszach, kiedy to „Pani-przy-mikrofonie” zapo-

wiada przyjeżdżające i odchodzące pociągi. Głos jej byłby zapewne ciekawym tematem badań językoznawców, a wyrazistość wymowy przedmiotem prac licznych logopedów.

Siedząc w pociągu, rozciągamy się na cały przedział, tworząc dodatkowo podłogę z plecaków – kadr jak z filmu o antycznych ucztach. Jedziemy na razie we trójkę, Aśka ma się dosiąść dopiero w Krakowie. Leniwie, jakby od niechcenia, pociąg mozolnie przesuwają się po torach. Teraz człowiek jest w stanie zrozumieć ostrzeżenie, które swego czasu straszyło w wagonach: „Zabrania się zbierania grzybów podczas jazdy pociągu”.

Kraków, przesiadka do autokaru. Niestety, niewielki busik miał tylko cztery koła, kierownicę oraz komplet 48 pasażerów na pokładzie. Pojazd mały, a wszyscy chcą jechać. I tak: „ja stanę tak, przestawię nogę tam, łokieć wsadzę tu, a głowę wcisnę, o, w tę szczelinę...” I wszyscy tak zaczęliśmy kombinować. Zapakowany „autokar” przypominał całkiem dobrze ułożony „Tetris”, gdzieś tam tylko poprzetykany bańkami powietrza. No, ale trzeba przecież czymś oddychać. Najciekawsze, co zapamiętałem z tego etapu podróży, to wysiadający „spod tego, na którym stał ten, na którym ja stałem” oraz pachy (na szczęście niedawno myta) któregoś ze współpasażerów. Z czasem ludzi zaczęło ubywać i ostatnie kilkanaście minut mogliśmy jechać na siedząco. Rozgadani i weseli nie zauważyliśmy, że dotarliśmy do punktu docelowego, będącego jednocześnie ostatnią stacją na trasie busa.

Oczekiwanie – kierowcy, kiedy my wyjdziemy i nasze – kiedy wreszcie ruszymy. Kierowca zrezygnował jako pierwszy. „Ostatnia stacja”, powiedział. „Proszę wysiadać.” „No przecież wysiadamy!”, powiedziała Cobelto. Po czym siedzieliśmy dalej, nie wykonując żadnych manewrów ni ruchów ku drzwiom. Sytuacja trwała dobre kilkanaście sekund, zanim zaczęliśmy się zbierać. Nie powiem, mnie osobiście zmotywował wzrok nabiegłych krwią oczu kierowcy i nabrzmiała żyła na jego czerwonym czole.

Zawoja, malownicza wieś ciągnąca się wzdłuż drogi. I ciągnąca, i ciągnąca. A my szliśmy tą drogą, i szliśmy i szliśmy. No i poszliśmy. Około godziny osiemnastej naszym oczom ukazała się masywna góra, której nazwa mroziła serca najbardziej doświadczonych himalaistów – Miśkowców Groń. Jej masyw, ośnieżone stoki i wiejący wiatr zapowiadały nie lada wyzwanie. Szlak okazał się całkowicie nieprzetarty. Brodząc po pas w śniegu, zmienialiśmy się co kilka minut na prowadzeniu, przesuwalimy się wolno do przodu...

Wyplaszczenie, ale jeszcze nie szczyt. Jesteśmy zbyt zmęczeni i przemarznięci, by iść dalej. Dodatkowo droga, która miała zająć nam około godziny, zajęła nam tych godzin trzy. Trasa minimum wykonana, teraz tylko rozłożyć namioty i przygotować ciepły posiłek. Oczywiście, nie obyło się bez niespodzianek. Ognisko, z takim trudem rozpalone, zaczęło nam się wolno, acz systematycznie, zapadać w śniegu. Po kilkunastu minutach nie mieliśmy ani ciepłego ogniska, ani też wrzątku. Mieliśmy za to perspektywę zamrażania kilkaset metrów od cywilizacji. Wizja takiej przyszłości zmotywowała nas do kolejnego podejścia do paleniska. Po ułożeniu cienkich jak makaron patyczków ognisko ponownie jęło się palić. Chociaż może „palić” to zbyt duże słowo – śladu dymu nie było, ciepła też to to nie dawało. Ale posiadało jakąś mistyczną moc, zamienia-

jącą wodę we wrzątek, a fix znanej firmy w zjadliwy sos.

Podczas gdy Pavel i Cobelto walczyli z żywiołem, Asi i mnie przypadła niezgorsza walka – o równe rozstawienie namiotu. Nie będę się rozpisywał nad ogromem pracy i mnogości przeszkód, jakie musieliśmy pokonać, ale koniec końców – namiot został rozbity...

Tutaj może mała dygresja – namiot rozstawiony charakteryzuje się porządnie naciągniętym tropikiem, solidnie wbitymi szpilkami, a także – co dość istotne – spoczywaniem w płaszczyźnie poziomej. Natomiast namiot rozbity przypomina rozbite auto – po gwałtownym hamowaniu, dachowaniu, kilku przewrótkach i okręceniu się wokół drzewa bagażnikiem do góry. Luźny tropik, powiewające na wietrze odcigi i ułożenie na dość pochylonym stoku. O tak – nasz namiot był zdecydowanie rozbity.

Po zjedzeniu ciepłego obiadu przyszedł czas na zastanowienie się nad sposobem ugotowania herbaty. Oczywiście nie było łatwo i tym razem, no bo czemu nagle miało być nam łatwiej? Nie chcąc gotować nowej wody (zbieranie śniegu, roztapianie śniegu, donoszenie śniegu, zagotowanie śniegu, blee...), postanowiliśmy zrobić czaj na jeszcze cieplej wodzie po kaszy. Herbata z kardamonem jeszcze nigdy nie smakowała tak... specyficznie. Dzięki opatrności, że nie soliliśmy kaszy.



Po zgaszeniu ogniska (właściwie to samo zgasło) postanowiliśmy udać się na zasłużony odpoczynek. Spadek w namiocie był niezmierny, a dodatkowe dolki i górki dostarczały naszym umęczonym ciałom nowych doznań. Wierząc się i kręcąc, zamieniając miejscami, karimatami, śpiworami i co kto jeszcze tam przy sobie miał, zasnęliśmy w „wygodnych” pozycjach.

Po nocy na „madejowym łóżu” nastał piękny poranek, uświadamiający nam, w jak totalnym zadupiu się rozbiliśmy. Gdybyśmy przeszli jeszcze trzysta metrów, dotarlibyśmy do płaskiej polanki, a nasza noc i walka z namiotem nie wyglądałyby tak interesująco. Śniadanie, a na nim kaszanka – jak nazwaliśmy naszą wczorajszą herbatę – oraz kanapki z białym serem i dżemem, specjalnie zachomikowanym i przywiezionym przez Cobelto. Składanie namiotu, pamiątkowe zdjęcia i ruszamy w dalszą drogę.

Śniegu przez noc wcale nie ubyło, przeciwnie, wczorajsze opady znacznie podniosły jego poziom. Na szczęście dobra pogoda, wyśmienite nastroje oraz optymistyczna wizja dnia pozwoliły nam radośnie brnąć przez biały puch. Było koło południa, kiedy zdecydowaliśmy się zejść ze szlaku i wstąpić do pobliskiego schroniska. Ciepło, do-

bra herbata oraz sącząca się z komórki spokojna muzyka wprowadziły senną i sielską atmosferę. Żadne z nas nie miało ochoty wychodzić na mróz, nikt nie myślał o przedzieraniu się przez śnieg. Ale i tak poszliśmy.

Szczytem, który chcieliśmy zdobyć i ukoronowaniem zmagania dnia dzisiejszego miał być Jałowiec. Pogoda była dobra, wiatru zero. Nic nie zapowiadało zdarzeń, które miały mieć miejsce w niedalekiej przyszłości. . .

To, że zapadaliśmy się po pas w śniegu niespecjalnie nas odstraszało, zdążyliśmy się przyzwyczaić. Natomiast wiatr, jaki zerwał się niedługo po zapadnięciu zmroku, praktycznie uniemożliwiał nam brnięcie dalej. Jednak obawa przed spadającymi gałęziami pchnęła nas do dalszej drogi, aby tylko wydostać się na otwartą przestrzeń. Z dotarcia na szczyt pamiętam jedynie stojący tam krzyż, pod którym potknąłem się i runąłem w głęboką zaspę. Postanowiliśmy – wracamy i rozbijamy namiot. Łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Rekord w zapadaniu się w śnieg osiągnął Paveł, który zapadł się nieomal po szyję w miękkim puchu, a runąłby niżej, gdyby się w ostatniej chwili nie przytrzymał. Zdecydowaliśmy, że chrzanimy ognisko, a ewentualny wrzątek jesteśmy w stanie uzyskać na palniku. Oczywiście, nie obyło się bez utrudnień. Po pierwsze: gdzie rozbić namiot? Po przejściu niewielkiego wypłaszczenia na zboczu, jedynym fragmentem, w którym się nie zapadaliśmy, była niewielka platforma o wymiarach dwa na dwa metry. Tam też postanowiliśmy spać. Po drugie: gdzie będziemy chodzić na jedynecki i dwójeczki? Ponieważ przejście na większą odległość graniczyło z cudem, wydeptaliśmy sobie ścieżkę, wiodącą między drzewa. Ale i tak pilne i nagłe potrzeby załatwiane były przez co niektórych w bliskim sąsiedztwie zarówno namiotu, jak i prowizorycznej kuchni. Po zagotowaniu wody i zrobieniu kilku łyków herbaty, nasza drużyna postanowiła wyciągnąć styranę dzisiejszym dniem kończyny. Zasnąłem natychmiast, chociaż bałem się hulającego nad naszymi głowami wiatru, a wizja spadającego na namiot konaru nie nastrajała mnie optymistycznie.



Poranek był zabawny, to chyba najlepsze słowo. Humory nam dopisywały, a miało to źródło w kilku wydarzeniach. Pobudka i nagle okazuje się, że mam na sobie nie swój polar. Krój owszem, identyczny z moim, ale kolor – odcień soku z jagód – deklasował ten ubiór jako mój. Nerwowe rozglądanie się po namiocie i poszukiwanie zgrywusa, który przebrał mnie podczas snu. Na szczęście sprawa dość szybko się wyjaśniła. Przechodzące przez namiot

światło załamywało się w dziwny sposób i wszystkie przedmioty w kolorze czarnym zmieniały swoje, przewidziane przez producenta barwy.

Zdumiona była także Asia. Jej śpiwór – wersja dry pewnej firmy – zmienił swoją cudowną właściwość i wersją dry już nie był. Polar mógł zmienić kolor, byliśmy w stanie w to uwierzyć, ale śpiwór tracący znaczną część swojej konstrukcji był, co tu ukrywać, rzeczą dość niezwykłą. Odpowiedź, jak w przypadku mojego ubioru nie miała charakteru nadprzyrodzonego, a bardzo racjonalny. Tajemnica została rozwiązana, gdy Asia postanowiła zajrzeć do śpiwora. Lewa strona. Najwyraźniej podczas wieczornego zamieszania zanurkowała do ciepłego posłania, nie przejmując się, czy jest on wywrócony na właściwą stronę.

Do porannych wydarzeń doszedł jeszcze „Kryzys śniadaniowy” i „Incident z Panem Japą”. Co tu dużo mówić. „Kryzys śniadaniowy” polegał na poważnym sporze, który ostro podzielił naszą grupę, podkopał filary niejednej przyjaźni i wprowadził zamęt i chaos w nasze szeregi. A mianowicie: „Czy herbata powinna być podawana do, przed czy też po zaserwowaniu ciasta?”. Rozmowy toczyły się zażarcie (a może za żarcie?), termos latał z rąk do rąk, wyrwano sobie kubeczki (jeden upadł na śpiwór, chyba po to, żeby go bardziej zmoczyć), w powietrzu unosił się zapach kardamonu i brudnych skarpetek. . . Herbata w końcu została wypita po śniadaniu. Zimna.

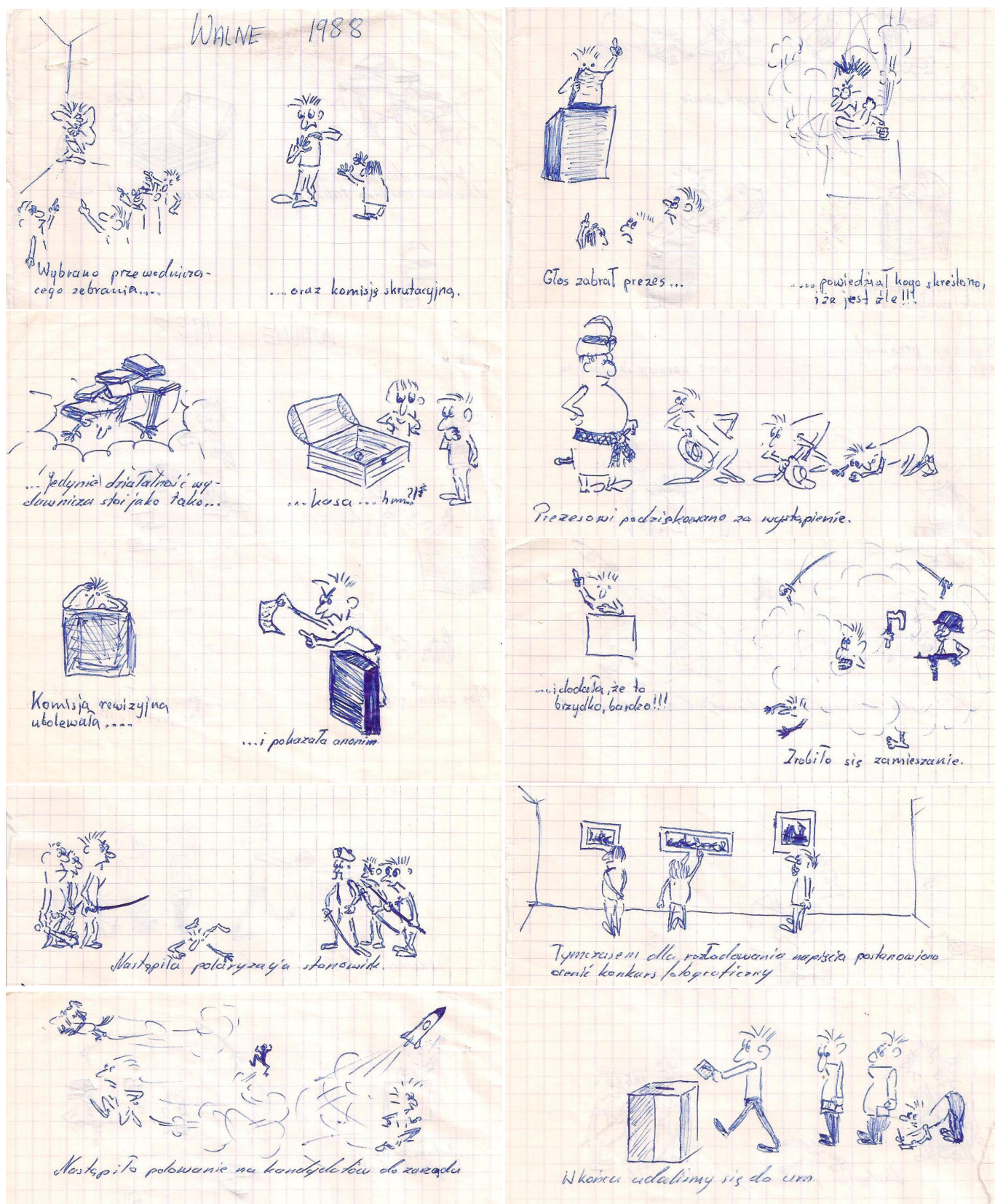
Co do Pana Japy. . . Żeby przybliżyć jego sylwetkę, musimy cofnąć się w czasie, kiedy to dinozaury kroczyły po ziemi, czyli do wczorajszego dnia. Brnąć w stronę Jałowca, przedzierając się przez wszechobecny śnieg, zostaliśmy wyprzedzeni na którymś tam postoju, przez ojca z dwójką dzieci. Ojciec – nazwany przez nas Panem Japą – dumny jak paw, systematycznie i szybko przemierzał sięgający mu do kolan śnieg, a o zadowoleniu, z jakim to czynił świadczył kretyński uśmiech zdobiący jego facjatę. I pewnie zapomnielibyśmy prędko o tym turyście, gdyby nie wspomniane wcześniej dzieci. Maluchy, góra ośmioletnie, ledwo nadążały za opiekunem. Tam, gdzie śnieg był błahostką dla rodzica, stawał się nie lada przeszkodą dla małych jeszcze dzieci. Wieczorem stanęła przed nami wizja zamarzających gdzieś na szlaku dzieci i Pana Japy, który czeka gdzieś w zaspie do wiosny.

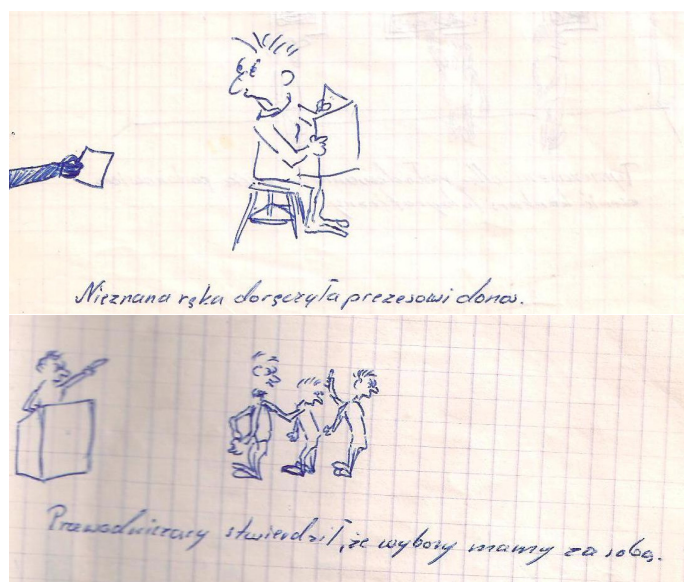
Ale wracając do dnia drugiego. Kiedy obozowaliśmy na naszej platformie, znaleźliśmy coś na kształt śnieżnej jamy, którą od razu ochrzciliśmy „Pieczarą, w której to trzewiach Pan Japa z potomstwem wiosny wyczekuje”. I żeby nie było im głodno, postanowiliśmy z tej jamy zrobić śmiećwór organiczny. I tak Pan Japa dostał ogryzek od jabłka, okruszy z ciasta, a w ferworze miotania Paveł wrzucił tam także mój kubek od termosu.

Żarty żartami, ale jesteśmy na wyprawie – trochę powagi zachować trzeba. Spakowani ruszyliśmy w drogę powrotną, aż koniec końców wylądowaliśmy w Suchej Beskidzkiej, gdzie urządziliśmy sobie orgię w pobliskiej pizzerii, a nasze hulaszce i swobodne zachowanie wprawiło w zdumienie niejednego miejscowego. Nim się obejrzelismy, już siedzieliśmy w pociągu i zmierzaliśmy do Warszawy, gdzie miałem wyrównać rachunki z pewną mieszkającą u mnie kotką. . .

To pisałem ja, podczas nudnych wykładów, wspominając wspaniałą wyjazd w gronie miłych mi osób. ■

Rysunkowa relacja z walnego 1988





Cytaty i Fakty

Grzegorz Kaczmarek

O ludziach:

... większość jednak nadal woląta niepowtarzalną atmosferę SKG, gdzie przewodnicy beskidzcy spotykali się ze świętokrzyskimi, taternicy z wielbicielami Beskidu Niskiego, zawzięci „wyrzypiarze” z wygodnymi kontemplatorami widoczków, a „fizycyści” z krajoznawcami-erudytami.

Przewodnik po turystyce akademickiej – Informator PTTK dla studentów, Warszawa 1983

O założeniach kursu przewodników górskich:

Chcemy by jednakowo dobrze czuł się u nas człowiek traktujący turystykę górską przede wszystkim relaksowo, turysta o zamiłowaniu „traperskich” i zapalony erudyta-krajoznawca. Pierwszego „zmusimy” do zdobycia podstawowego zasobu wiadomości niezbędnych by móc innych ciekawie i bezpiecznie prowadzić po górach, drugiego uczulimy na sprawy samopoczucia i bezpieczeństwa uczestników, trzeciego wreszcie „zmusimy” do zdobycia umiejętności bardziej forsownego wędrowania, biwakowania itd. Nie kładąc jednak wyrzekać się ulubionych sposobów chodzenia po górach.

Informator SKG dla uczestników kursu przewodnickiego GOT, Warszawa 1983

Kawałek historii:

Przez cały listopad i połowę grudnia [1981], ze względu na strajk okupacyjny w gmachu Wydziału Psychologii działalność Klubu była praktycznie zawieszona. Odbył się jedynie skromny Rajd Jesienny /12-15 XI/ w Beskidzie Żywieckim. I Kurs Przewodników GOT także pozostał w zawieszeniu.

Po 13 XII działalność Klubu została oficjalnie wstrzy-

mana. Prywatne kontakty członków Klubu pozwoliły na wspólne spędzenie tradycyjnej, skromnej Wigilii klubowej.

Tego roku nikt nie spędzał Sylwestra w górach.

Informator SKG wiosna-lato '86, Warszawa 1986

Kilka faktów z dziejów SKG:

- Pierwotnie siedziba SKG mieściła się na Stawkach 5/7 III piętro w sali 90, tu też odbywały się wykłady,
- Najstarszą z dorocznych imprez SKG jest Rajd Wielkanocny „Gorce Pieniny” istniejący od 1978 roku. Przez lata był uznawany za najważniejszy z klubowych rajdów,
- W ramach akcji lato Klub organizował obozy wędrownie po górach Polski, Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii. Co rok w ciągu dwóch miesięcy przez całe lata osiemdziesiąte odbywało się około 10 tego typu wyjazdów,
- W pierwszym okresie działalności Klubu zdarzało się, że przejście wiosenne odbywało się wcześniej niż ma to miejsce obecnie. I tak na II KPG miało ono miejsce w okresie od 4 do 10 IV 1983 roku. Aż do początku lat dziewięćdziesiątych nieco inny był też charakter przejścia letniego. Trwało ono trzy tygodnie i zawsze odbywało się na terytorium Polski tak jak to było w wypadku III KPG kiedy to jego uczestnicy przemierzali Beskid Niski od 22 VI do 12 VII 1984 roku.



Zygmunt Kaczkowski

Grzegorz Kaczmarek

Jest ciepły majowy dzień. Uczestnicy przejścia wiosennego XXXI KPG zmierzają z ukrytej w karpackim buszu bazy namiotowej ku cerkwi w Łopience. Jej białe jak śnieg ściany dają przyjemny chłód, a pobliska dwustuletnia lipa cień. Zmęczona po całodobowych manewrach grupka rozstawia się pod świątynią i słucha referatów. W ich trakcie „ciężej poszkodowani” liżą rany. Zdaje się, że zaraz będziemy maszerować dalej, a jednak nie... „Strzelec” chce jeszcze coś przeczytać. Ciekawe co to będzie...

Powoli do moich uszu zaczynają docierać słowa powieści „Mąż Szalony” Zygmunta Kaczkowskiego. Mimowolnie przyszykuję oczy i zapadam w stan hibernacji. Nie dociera do mnie nic poza potokiem słów. Początkowo niewyraźnie, jakby zza mgły, zaczynam coś dostrzegać i słyszeć jakieś dalekie odgłosy. Z każdą chwilą wszystko zaczyna się wyostrzać aż ukazuje mi się jakaś tętniąca życiem wieś zatłoczona przez przybyłych na odpust pątników, kupców i nurekujących w tłoku złodziejasków. Gdy podchodzę nieco bliżej w oczy rzuca mi się środkowo-wschodnia pstrokaczyna, a moje uszy atakują dziwne języki. Rozglądam się dookoła i nagle dostrzegam cerkiew... ależ to Łopienka! Próbuje podejść bliżej ale nagle wszystko zaczyna się rozmywać. Ukazują się postacie moich towarzyszy i kończącego występ „Strzelca”. Prowadzący zarządza wymarsz...

Takie było moje pierwsze spotkanie z Zygmuntem Kaczkowskim, po którym obiecałem sobie, że muszę bliżej zapoznać się z tym autorem.

Człowiek ten był jedną z barwniejszych i bardziej kontrowersyjnych postaci polskiej literatury XIX wieku. Wieleletni stały bywalec Bieszczad, pisarz, poeta, działacz niepodległościowy oraz... szpieg austriacki i finansista, obecnie nieznany szerszej publice. Zygmunt Kaczkowski urodził się w 1825 roku w Kamionce Wołoskiej koło Rawy Ruskiej na terytorium obecnej Ukrainy. Jego ojciec Ignacy był zarządcą majątku Aleksandra Fredry w Cisnej. Młody Kaczkowski zdobywał wiedzę w szkołach galicyjskich. Następnie studiował kolejno we Lwowie i Wiedniu. W wieku 20 lat powrócił do kraju, zrezygnował z dalszej nauki i wraz z ojcem zamieszkał w Bereźnicy Wyżnej w Bieszczadach. Tu oprócz spraw gospodarskich zajmował się samokształceniem oraz twórczością literacką.

W roku 1846 wraz z ojcem wziął udział w powstaniu krakowskim. W tym okresie zyskał sławę dzięki cyklowi liryków patriotycznych *Pieśni z otchłani*. Po klęsce insurekcji pisarz na dwa lata trafił do austriackiego więzienia. W czerwcu 1847 roku obu Kaczkowskich skazano na karę śmierci. Wyrok nie został jednak wykonany z powodu wybuchu Wiosny Ludów.

Po uwolnieniu Zygmunt Kaczkowski odsunął się od ruchu rewolucyjnego i zaczął skłaniać się ku konserwatywnym sferom szlacheckim. Po zduszeniu Wiosny Ludów w Galicji oddał się gospodarowaniu na ojcowskim majątku, pisarstwu i życiu towarzyskiemu we Lwowie, gdzie był

częstym bywalcem. Uwikłany w rozliczne skandale i zatargi, w 1855 roku zbiegł do Francji. Powróciwszy po trzech latach, już jako znany literat i autor cyklu Ostatni z Nieczujów, założył pismo *Głos*. Za opublikowanie nieprawomyślniej odezwy Agatona Gillera został oskarżony o zdradę stanu i skazany na 5 lat więzienia. Odbił tylko rok kary, gdyż dzięki zabiegom Sapiehów został ułaskawiony przez cesarza Franciszka Józefa I.

W roku 1863 wziął udział w organizacji zaplecza powstańczego w Galicji. Jako agent austriacki doprowadził do rozbicia galicyjskiej organizacji spiskowej, co pociągnęło za sobą falę aresztowań i zduszenia w zarodku powstania styczniowego w Galicji. Zdemaskowany Kaczkowski zbiegł do Austrii, gdzie zbliżył się do tamtejszych elit politycznych. Z czasem posiadał tak znaczne wpływy, że stał się jednym z ojców ugody galicyjsko-austriackiej, na mocy której Galicja otrzymała bardzo szeroką autonomię.

Przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte jako zawodowy agent dyplomatyczny i finansowy powiększał swój majątek na spekulacjach finansowych. Jako pisarz zabrał głos dopiero w roku 1883, kiedy to wystąpił z polemiczną Teką Nieczui. Podjął też walkę na pióra z Henrykiem Sienkiewiczem tworząc Abrahama Kitaja i Olbrachtowych rycerzy - panoramę polskiego społeczeństwa schyłku XV wieku. Batację tę przegrał i został przez swego rywala przyćmiony tak, że w 1896 roku zmarł w Paryżu niemal zupełnie zapomniany.

Jako pisarz wiele zawdzięczał kontaktom z Wincentym Polem, Karolem Szajnochą i Aleksandrem Dumasem. W swej twórczości korzystał także z osiągnięć sławiącego sarmackie cnoty Henryka Rzewuskiego.

Wykorzystując swą wiedzę historyczną i żywą pamięć o sarmackiej tradycji napisał Kaczkowski swoje największe dzieło. Powstały w latach pięćdziesiątych sześciotomowy cykl Ostatni z Nieczujów ukazuje barwną panoramę życia szlachty sanockiej z drugiej połowy XVIII wieku. Jej autentyzm obyczajowy, biograficzny, językowy i topograficzny sprawia, że od Kaczkowskiego po prostu nie da się oderwać. Wszystko to okraszone jest wartką akcją, podczas której pojawiają się nieszablonowe postacie przedzierające się przez gąszcz różnorodnych wydarzeń.

Główny bohater szlachcic-gawędziarz Marcin Nieczuja, posługujący się potocznym językiem prowincjonalnej szlachty zabiera nas w podróż w czasie po pełnej dziwów karpackiej krainie. Gwarantuję, że będziecie mieli wielką frajdę czytając Kaczkowskiego z mapą w ręku. Zapewne zaskoczy Was to, jak kiedyś wyglądały miejsca takie jak Baligród, Lesko czy Łopienka i co się w nich działo.

Opis odpustu odbywającego się w ostatniej z wymienionych miejscowości, o którym wspominałem na samym początku, stanowi kwintesencję twórczości zapomnianego pisarza. To właśnie od Męża Szalonego proponowałbym zacząć przygodę z jego twórczością. Gorąco zachęcam Was do sięgnięcia do cyklu Ostatni z Nieczujów, na pewno się nie rozczarujecie! ■

Pierwsze przejście łąkiem Karpat

Grzegorz Kaczmarek

Andrzej Wielocha – prezes Towarzystwa Karpackiego, historyk filozofii, pisarz, współautor i redaktor publikacji dotyczących Karpat, wydawca literatury o specjalności turystyczno-krajoznawczej, autor Almanachu Karpackiego „Płaj”, dyrektor wydawnictwa PTTK „Kraj”. Przewodnik beskidzki, były prezes Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie, pierwszy prezes Towarzystwa Karpackiego. Organizator sesji popularnonaukowych poświęconych Karpatom. Inicjator działań etnograficzno-społecznych na Łemkowszczyźnie. W 1980 roku był kierownikiem wyprawy, która jako pierwsza w historii dokonała przejścia łąkiem Karpat.



Grzegorz Kaczmarek: Zaczniemy od pionierskiej wyprawy z 1980 roku. Skąd wziął się pomysł na przejście Łuku Karpat?

Andrzej Wielocha: Pomysł pojawił się dość naturalnie. SKPB chodziło po Karpatach od lat siedemdziesiątych. Doszliśmy do wniosku, że tyle chodzimy po tych Karpatach, że trzeba by je przejść całe.

G.K.: Z jakich map korzystała ekipa?

A.W.: Polskie mapy turystyczne, Wigówki¹, sztabówki austriackie sprzed pierwszej wojny światowej oraz Muti Nostri. W Rumuni używaliśmy głównie dwusetek, rzadko dysponowaliśmy siedemdziesiątkami piątkami.

G.K.: Wyprawa miała swój sprzęt?

A.W.: Mieliliśmy dwuosobowe namioty z wypożyczalni Almaturu². Plecak uszyła nam firma z Sosnowca.

G.K.: Były jakieś kłopoty techniczne?

A. W.: Nasze buty nie wytrzymały podczas przejścia i każdy musiał je zmienić na trasie. Nowe obuwie dostarczyła grupa wsparcia.

G.K.: W tamtych czasach nie było opcji, by zejść do najbliższej miejscowości i zrobić poważne zakupy żywnościowe. Słyszałem, że były jakieś

grupy wsparcia. Jak to dokładnie wyglądało?

A.W.: Grupy wsparcia z kraju co dwa tygodnie miały nam dostarczać jedzenie. Żywiliśmy się głównie jedzeniem z Polski, ale czasem kupowaliśmy rumuńskie konserwy i chleb. Nie zawsze udawało się nam spotkać, bo mieliśmy bardzo szybkie tempo. Nie raz bywało, że musieliśmy zjeść jakiegoś gluta lub to, co kupiliśmy od pasterzy. Był z tym spory problem, bo pasterze musieli część wyrobów oddawać państwu i w związku z tym nie chcieli uszczuplać swojej doli. Sytuacja polepszała się wraz ze wzrostem wysokości - im wyżej tym łatwiej było coś od nich kupić.

G.K.: Dostaliście jakieś wsparcie finansowe. W ogóle istniało wtedy coś takiego?

A.W.: Była pula przeznaczona na dofinansowanie obozów. Państwo przekazywało pieniądze Almaturowi, a Almaturowi dofinansowywał działalność studenckiego klubu górskich.

G.K.: Jakie było doświadczenie uczestników karpackiej eskapady?

A.W.: Wszyscy oprócz jednej osoby byli już przewodnikami. Każdy miał za sobą kilka lat chodzenia po górach.

G.K.: Dlaczego wyprawa wystartowała z Bratysławy?

A.W.: W trakcie półtorarocznych przygotowań doszliśmy do wniosku, że lepiej zacząć od gór mniej ciekawych. Chcieliśmy wejść rozchodzeni w wyższe góry. Atrakcyjniejsze góry zostawiliśmy sobie na moment, gdy zaczniemy odczuwać psychiczne zmęczenie.

G.K.: Które pasmo było najbardziej wymagające i jaka była tego przyczyna?

A.W.: Góry Vrancei – mgła bardzo utrudniła orientację w terenie.

G.K.: Czy ktoś wykruszył się w czasie wędrówki?

A.W.: Nie, cała nasza piątka dotarła do celu.

G.K.: Spotykaliście kogoś w górach, jakichś turystów, pasterzy?

A.W.: W Rumunii było sporo pasterzy i nieco turystów. Tych drugich spotykaliśmy tylko w Karpatach Południowych. W Polsce i Czechosłowacji było ich znacznie więcej.

G.K.: Jak to było z odcinkiem Karpat leżącym na terytorium ZSRR?

A.W.: Przed wyjazdem złożyliśmy oficjalną prośbę przez ambasadę radziecką. Z Moskwy otrzymaliśmy odpowiedź negatywną, gdyż była to strefa zamknięta. W rezultacie przedostaliśmy się w Karpaty Ukraińskie nielegal-

¹ Wojskowy Instytut Geograficzny – polska wojskowa instytucja geograficzna działająca w latach 1919–1949

² Biuro Podróży i Turystyki „Almaturowi” – powstało w 1956 roku i zajmowało się organizowaniem turystyki środowiska studenckiego.

nie. Mieliliśmy tylko vouchery na papierach Almaturu. Do ZSRR wjechaliśmy pociągiem do Lwowa. Tam złapaliśmy przesiadkę na kolejny do Przełęczy Użockiej. Tam w kompletnych ciemnościach wpakowaliśmy się na budkę strażniczą ze szlabanem. Przedefilowaliśmy koło niej z pewnością siebie. W tej sytuacji pomogło nam zindoktrynowanie funkcjonariuszy, którzy uznali, że jak ktoś tu jest, to znaczy, że ma tu prawo być. Mieliliśmy też trochę szczęścia, bo w 1980 roku była olimpiada w Moskwie i było pewne rozluźnienie na granicy. Odcinek ukraiński przeszliśmy w dwa tygodnie w nieustannym deszczu. Opady były tak intensywne, że w dole wywołały powódzie.

G.K.: Były jakieś problemy ze strony władz bratnich państw?

A.W.: Próbowano nas zatrzymać na granicy ZSRR i Rumuni. Pokazywaliśmy celnikom masę różnych papierów i w końcu wymieklili. Muszę przyznać, że była to bardzo ciężka przeprawa i momentami już żegnaliśmy się z rumuńskim odcinkiem naszej trasy. W ogóle największym problemem była biurokracja wynikająca ze strachu przed przełożonymi oraz poczucie nieograniczonej władzy.

G.K.: Latem 1980 roku sporo się w Polsce działo³, dochodziły do was jakieś wieści z kraju?

A.W.: Gdzieś w Fogaraszach trafiliśmy na turystów z Czechosłowacji. Rzucili się nam na szyję ze słowami „u was jest teraz tak jak u nas w 1968 roku⁴!” Nie wiedzieliśmy co się stało, czy rozwój wypadków był taki jak w wypadku Praskiej Wiosny? Sytuacja wyjaśniła się, gdy spotkaliśmy się z naszą grupą wsparcia. Od nich dowiedzieliśmy się o tym, co stało się na wybrzeżu.

G.K.: Czy wyprawą interesowały się jakieś media krajowe bądź zagraniczne?

A.W.: Media krajowe niewiele się tym interesowały, bo w kraju działały się wtedy dużo ważniejsze rzeczy. Dla zagranicznych to też nie był temat. Ukazało się parę artykułów w *Taterniku*, *Politechniku* i *Ekspresie Wieczornym*.

G.K.: Jakież przygody na trasie?

A.W.: Dużym przeżyciem był odcinek ukraiński. Tu miało dojść do konfrontacji treści przedwojennych przewodników z rzeczywistością. Nie zawiedliśmy się. Odnaleźliśmy krzyż legionów na Przełęczy Rogodze Wielkie⁵. Był w niezłym stanie, a tablicę ktoś niedawno przetarł. Znajdowaliśmy też przedwojenne słupki graniczne.

G.K.: Co z tej eskapady najbardziej utkwilo Panu w pamięci?

A.W.: Poczucie oderwania od świata. Właściwie nie schodziliśmy w dół. Po 3 – 4 tygodniach czułem się jakbym był w jakimś innym świecie. Mieliliśmy poczucie wolności i niezależności.

G.K.: Wyczyn z roku 1980 dał początek sukcesom innych wypraw. Z zestawienia Łukasza Supergana wynika, iż Polacy są niekwestionowanymi liderami w tej dziedzinie. Jakie mogą być przyczyny tego faktu?

A.W.: Teraz nie jest to już wyzwanie. Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak się stało.

G.K.: Jaka jest kondycja polskiej turystyki górskiej, poszła w odstawkę, a może nastał jej renesans?

A.W.: Trudno mi to ocenić, bo nie mam pełnego oglądu, ale wydaje się, że poziom jest ten sam co kiedyś. Widzę, że młodzi ludzie garną się na kursy, jest też trochę wyjazdów, więc nie jest tak źle.

G.K.: Czy można coś zrobić, by zapobiec sytuacjom podobnym do tej, w jakiej niedawno znalazła się legendarna Samotnia?

A.W.: To jest kwestia schronisk w ogóle. Schroniska utrzymują się z turystów „mniej elitarnych”. Oczekiwania tych pozostałych są nierealne. Takiego obiektu nie da się prowadzić społecznie. PTTK jest własnością ponad 80% schronisk. System spółek i dzierżaw wdrożony przez ludzi formatu Dąbrowskiego i Syryjczyka był jedyną realną opcją od strony ekonomicznej. Kuleje, bo jeden właściciel sprzedaje piwo i hot-dogi i ma z tego zysk, drugi zaś – bardziej idealistyczny – zawsze będzie w gorszej sytuacji, bo prowadzenie schroniska to kierowanie przedsiębiorstwem. PTTK stara się, ale pieniędzy nie wystarcza na wszystko. Inna sprawa, że schronisk jest po prostu za dużo. Nie ma możliwości, żeby część z nich zlikwidować, bo spotkałoby się to ze zbyt dużym oporem. Taka liczba to pokłosie tego, że po wojnie polska turystyka rozwijała się spontanicznie i nie było żadnego planu na dłuższą perspektywę. Jest też problem z obrzydliwym „produktem turystycznym” wytwarzanym przez urzędników, którzy chcą się wykazać, a nie znają się na rzeczy. Należałoby przekonać ludzi do zmiany sposobu gospodarki i podjąć działania na polu kulturalnym – wytłumaczyć ludziom, że sięganie do korzeni nie musi spowodować tego, iż przetworzona tradycja staje się czymś obcym. O ile coś dzieje się w pierwszej z wymienionych sfer, to w drugiej mamy tylko niezdarne próby.

G.K.: Gdyby trzeba było wskazać trzech najwybitniejszych polskich przedstawicieli środowiska turystycznego XIX i XX wieku, wskazałby Pan na...?

A.W.: Mieczysław Orłowicz i długo długo nikt. To jest człowiek, o którym można by mówić godzinami. Dalej Gąsiorowski i Adam Lenkiewicz.

G.K.: Czy zgodziłby się Pan z tezą, że spośród krajów „Basenu Karpackiego” Ukraina ma najmniej rozwiniętą infrastrukturę turystyczną? Jeśli tak, to jakie są tego przyczyny?

A.W.: Mają w plecy przez okres radziecki. Mentalność ludzka pozostała niezmieniona, na to trzeba chyba kilku pokoleń. We wsiach ludzie żyją z dnia na dzień. Na Huculszczyźnie, gdzie silna była UPA, NKWD wysiedliło bardzo dużo ludzi. Cywilizacyjnie i rolniczo lepsza sytuacja panuje po południowej stronie Karpat, na Rusi Zakarpackiej. Jest to wynik tego, że władze przedwojennej Czechosłowacji starały się racjonalizować gospodarkę wysokogórską. Możliwe, że grają też rolę tradycje węgierskie

G.K.: Co Pan sądzi o zamieszaniu wokół Popa

³W sierpniu 1980 roku w Polsce miały miejsce strajki na Wybrzeżu, zakończone zawarciem czterech porozumień sierpniowych. W ich wyniku m.in. dopuszczono do zarejestrowania NSZZ Solidarność.

⁴Mowa o praskiej wiosnie czyli okresie politycznej liberalizacji w Czechosłowacji w roku 1968, trwającej od 5 stycznia do momentu, gdy ZSRR i inni członkowie Układu Warszawskiego (m.in. Polska) dokonali inwazji w nocy z 20 na 21 sierpnia tego roku.

⁵Krzyż upamiętniał bitwę pod Rafajową stoczoną w nocy z 23 na 24 stycznia 1915 przez II Brygadę Legionów Polskich z Rosjanami.

Iwana?

A.W.: Już w chwili wyboru lokalizacji budowa obserwatorium na Popie Iwanie nie miało sensu. Obecnie nikt nie buduje obserwatoriów w takich miejscach, dążąc do tego, by mieć do dyspozycji jak najwięcej bezchmurnych dni. Odbudowa w jakimkolwiek innym kształcie spowoduje przekształcenie w obiekt komercyjny. Na jego utrzymanie potrzebne są pieniądze. W końcu ktoś, kto weźmie na siebie jego obsługę, powie: ależ to miejsce musi na siebie zarobić, musimy wybudować wyciągi, drogi i lotnisko. W konsekwencji doszłoby do zniszczenia całej wschodniej części Czarnohory. Sprawa ochrony przyrody jest najważniejsza. Realizacja tych planów zaprzepaściłaby wysiłki ludzi, którzy przed wojną walczyli o dobro Karpat.



G.K.: Jak Pan ocenia „wymianę” Karpat ■

Wschodnich na Sudety?

A.W.: Nie patrzyłbym na to w kategoriach zysku czy straty. Tego typu myślenie budzi demony. Na Karpaty należy patrzeć jako całość i przekonywać Ukraińców do wspólnego dbania o przedwojenną spuściznę. **G.K.: I chyba tak się dzieje...** A.W.: Pozytywnym przykładem jest tu oznakowanie szlaków w Ukraińskich Karpatach.

G.K.: Czy w Pana rodzinie były jakieś tradycje „turystyczne”?

A.W.: Nie, nie było.

G.K.: Kiedy i jak trafił Pan do SKPB, czy to było pierwsze spotkanie z górami?

A.W.: Pod koniec lat sześćdziesiątych wylądowałem w Tatrach i jakoś tak wsiąknęłam, a potem w Warszawie zapisałem się na kurs SKPB. W tym momencie miałem już za sobą parę lat chodzenia po Beskidach i kilka odznak PTTK.

G.K.: Ma Pan jakieś swoje miejsca?

A.W.: Kwintesencją gór są dla mnie Tatry. Rzadko tam teraz bywam, boję się tych tłumów. Moje ulubione góry to Beskid Niski, gdzie mam dom – zaadaptowaną chyżę łemkowską. Góry są dla mnie fajne, gdy mają tło historyczno-kulturowe, gdy mają coś do powiedzenia.

G.K.: Czy jest jakieś miejsce na globie, które szczególnie pragnąłby Pan odwiedzić?

A.W.: Kiedyś chciałem pojechać na południe Ameryki Południowej, ale teraz wolałbym jakiś „karpacki ką”. Najbardziej ciągną mnie rejony rozrogu na styku Gór Marmaroskich i Rodniańskich. To teren ciekawy kulturowo. Jest najbardziej dziewiczy. To są góry bez blichtru i udawania.

U Envera i Lenmary

Damian Dąbrowski



Dlaczego Krym? Bo w miarę niedrogo, stosunkowo blisko, a przy tym pięknie i ciekawie. Dlaczego Baczysaraj? Bo dobrze skomunikowany i obfitujący w nietypowe atrakcje, takie jak pałac chanów krymskich, skalne miasto czy klimatyczny cmentarz karański. Mimo to miejscowość ta jest niewielka i bardzo spokojna, co czyni ją idealną odskocznią od tłocznych przybrzeżnych kurortów w rodzaju Jałty, kojarzących mi się z rodzimym Władysławowem. Zatem postanowione – w naszej podróży po Krymie spędzimy nocleg albo dwa w Baczysaraju. Tylko gdzie tu się zatrzymać? I dlaczego właśnie u Envera i Lenmary?

Enver i Lenmara są małżeństwem w podeszłym wieku i wynajmują pokoje. Ich dom znajduje się przy wąskiej bocznej uliczce, jednak znalezienie go nie sprawia większego kłopotu. Wita nas tabliczka z napisem „POKOJE” w trzech językach (bodajże rosyjskim, angielskim i polskim). Po przekroczeniu bramy oczom ukazuje się piękny, kolorowy ogród otoczony interesującymi nas zabudowaniami. Białe budyneczki sprawiają skromne wrażenie, ale są bardzo schludne i zadbane. Wokół cisza i spokój. Na sznurku schnie pranie. Popołudniowe słońce przyjemnie grzeje. Idylla.

Dostępne są małe dwuosobowe pokoje z łazienkami oraz nieco tańsze bez. Wyposażenie składa się z łóżek, stolika, jakiejś szafki i właściwie to wszystko. Bez wodo-

trysków, ale jest bardzo czysto i porządnie. Na świeżym powietrzu znajdują się ogólnodostępna wiekowa kuchienka oraz stoły i ławki sprzyjające integracji z innymi podróżnymi. Warto też wspomnieć o świetnych warunkach do zrobienia i wysuszenia prania, co po dłuższej tułaczce po hostelach może okazać się zbawienne. Istnieje możliwość umówienia się z właścicielami w sprawie posiłków.

Tym, co sprawia, że takie „zwykajnie” przyjemne miejsce staje się niezapomnianym, jest przesympatyczny pan Enver. Wiecznie rozpluwający się w uśmiechach właściciel od rana do wieczora krząta się z miotłą lub innym przyrządem pucująco-czyszczącym i sprząta, sprząta, sprząta... Nic dziwnego, że jest tak czysto! Enver bardzo chętnie rozmawia z gośćmi, a przy tym włada całkiem niezłą polszczyzną, co znacznie ułatwia kontakt, jeżeli nie zna się rosyjskiego. Ma się przy tym wrażenie, że Enver autentycznie troszczy się o swych gości, często dopytywał się, czy wszystko nam odpowiada, informował o przybyciu innych Polaków, z którymi możemy sobie porozmawiać, jeżeli mamy ochotę itd. Po prostu złoty człowiek. Pani Lenmara za bardzo nie poznaliśmy, gdyż przez większość naszego pobytu była poza Baczysarajem, jednak naleśniki z pigwą, które przygotowała nam na śniadanie przed wyjazdem, były pyszne.

Co do cen: za pokój bez łazienki płaci się ok. 28 zł od osoby, z łazienką ok. 32 zł - nieprawdziwa jest informacja w przewodniku Bezdroży po Krymie, jakoby nocleg kosztował... 4 zł! Wydawałoby się, że nikt tego na poważnie nie weźmie, natknęliśmy się jednak na grupkę studentek z Gdańska odbywających ekstremalnie budżetową podróż po Ukrainie, którym bardzo zrzędyły miny, gdy dowiedziały się, że jednak nie jest aż tak absurdalnie tanio. Pan Enver, któremu żal się ich zrobiło, zaoferował im nocleg za 16 zł, te jednak i tak uznały, że za drogo, i poszły spać pod namiotem. Za naleśniki i herbatę zapłaciliśmy 4 zł.

Zabrzmi to śmiesznie, ale pobyt u Envera i Lenmary jest jednym z milej przeze mnie wspomnianych epizodów z podróży po Ukrainie – i to pomimo paskudnego przeziębienia, które mnie wtedy męczyło. To idealne miejsce, aby odpocząć na chwilę od trudów odbytej podróży i nabrać sił przed jej ciągiem dalszym. ■

W odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie

Stefania Ambroziak

Jeśli ktoś mnie kiedyś spyta o najbardziej niezwykle, klimatyczne, magiczne, urokliwe i zaciszne górskie miejsce, otrzyma odpowiedź, która zgorszy niejednego miłośnika gór mniej lub bardziej dzikich.

Schronisko na Hali Kondratowej. W sezonie prawdopodobnie jedno z najbardziej obleganych. W świetle dziennym pewnie jedno z bardziej prozaicznych. Kto był i widział je jako nie jako miłe górskie schronisko, a kipiący turystami lokal, musi sobie wyobrazić, że pewnego wieczoru mogło wyglądać zupełnie inaczej.



Na Halę Kondratową dotarliśmy dzień po znakomitym sylwestrze SKG, 1 stycznia 2014 o zmierzchu. Dzień i rok są wyjątkowo istotne w tym wypadku. Po pierwsze, tegoroczna zima była znikoma, więc być może dlatego dane nam było zobaczyć w Tatrach puste szlaki, z których uciekali zniechęceni turyści i narciarze (zostali tylko prawdziwi miłośnicy gór, czyli my ☺). Po drugie, 1 stycznia naród odpoczywał po hucznie spędzonej nocy. Po trzecie, los chciał, że na Kondratową doczłapaliśmy niespiesznym krokiem, gdy niebo szarzało coraz bardziej, a w schronisku... nie było prądu.

„Kurczę, wygląda jak zamknięte”, powiedział Grzesiek i miał rację, bo okna były pogrążone w czerni, ani jednego

ognika światła. Tego dnia wszystko było zamknięte, więc już szykowaliśmy się na najgorsze („O nie, nie będzie obiadu”). Ale szarpnięta klamka ustąpiła, drzwi były otwarte, więc z westchnieniem ulgi weszliśmy radośnie.

„Dzień dobry”, powiedzieliśmy intuicyjnie, ale powitanie przygasło, gdy zobaczyliśmy w mroku puste stoły i ławki. Zaskoczyła nas dobiegająca z ciemności w kącie odpowiedź charyzmatycznej gospodyni schroniska. Więc jednak będzie obiad? Tak, nawet ciepły.

Zjedliśmy upragniony posiłek. Deser był prawdziwą rozpustą, bo przyniesioną biedronkową „belgijską” czekoladę popijaliśmy gorącą czekoladą ze schroniska. W międzyczasie z ciemności w okolicach podłogi rozległ się dźwięk dzwoneczka, a nakierowany reflektor czołówki ujawnił nam czworonożne pasiaste stworzenie, które okazało się być kotem. Więc z czekoladą i sympatycznym kotem na kolanach, przy żółtawym nastrojowym świetle świecy, otoczeni zimowym mrokiem, w absolutnej górskiej ciszy, mając całe schronisko dla siebie, spędziliśmy kilka chwil tak jakby czas się zatrzymał. Nad naszymi głowami wisiały balony – przeterminowane dekoracje minionej nocy, które przypominały o zabawie i hałasie, czyniąc ciszę jeszcze bardziej absolutną i spokój jeszcze bardziej wyrazistym. Przypadkiem zaliczyliśmy skromne sylwestrowe poprawiny.

Wyszliśmy na ciemną halę otoczoną białymi szczytami, nad głowami mieliśmy gwiazdzone niebo. „Ładnie jest”, ktoś powiedział, i więcej nie trzeba było. Wróciliśmy trochę zdziwieni, że krótki turystyczny spacer, który zapowiadał się na byle jaki, zamienił się w niezwykle wieczór. Nawet Grzesiek, Samotny Odyniec Beskidów, który Tatr nie lubi za to że są zdeptane przez turystów, nie oparł się urokowi tego schroniska w uśpieniu.



Cała historia może nie byłaby warta opisywania, gdyby nie prosta prawda o pięknych miejscach: warto wracać nawet do tych znanych i uczęszczanych, bo zawsze można odkryć je na nowo. Trzeba tylko znaleźć się w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie. ■

Najdziksze Góry Polski

propozycja trasy

Grzegorz Kaczmarek



Szukasz dzikich ostępów wolnych od stad niedzielnych turystów mknących po ceprostradach i chciałbyś odpocząć od Beskidu Niskiego i Bieszczad? Wydaje Ci się, że poznałeś dokładnie południowo – wschodnie kresy Polski? Mam dla Ciebie propozycję trasy, która nie rozczaruje żadnego „łazika”.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że na północ od Bieszczad znajdują się Góry Sanocko – Turczańskie. Są to tereny

rzadko odwiedzane przez turystów, dzikością przewyższające swego południowego sąsiada, posiadające wybitne walory przyrodnicze i kulturowe. Można tu natrafić na uroczne miasteczka, niepozorne cerkiewki i kościółki skromnie stojące z boku drogi, ukryte w karpackim gąszczu. Czasem trafiają się większe obiekty w rodzaju Pałacu w Olszanicy oraz ruin zamku Sobień. Jednak największym skarbem tej ziemi są otwarci i przyjaźni ludzie.

Trasa: Kuźmina – Zawadka – Ropienka – Wańkowa – Paszowa – Sanok

Długość: 49 km i 59 got.

Dokładny przebieg: Kuźmina – Margiel – Przełęcz między Porębą Wysoką a 623 – 623 – Zawadka (bród na Tyrawce) – Tarnawska – Łazy – Węgliska – Ropienka – Lewy brzeg rz. Ropienki – Wańkowa – Kamionka – Żytuczna – (forsowanie dopływu Borsukowca) Dział – Giewont – Paszowa – Kamionka – Słonny – Przysłup – Przełęcz Przysłup – Słonna – 660 – Przełęcz 486 – 518 – Sanok

Specyfika: weekendowa trasa namiotowa

Atrakcje:

- cerkwie w Kuźminie (XIX w.), Wańkowej i Paszowej (XVIII w.)
- cmentarz w Zawadce z XIX wieku
- kopalnia Ropy Naftowej (XIX/XX w.) i dom Bolesława Bisa w Ropience
- imponująca panorama Bieszczad z masywu Słonnego
- Sanok i jego muzea



Piosenka z przeszłości

Rajd dookoła świata

Grzegorz Bokota

W czasie ostatnich wakacji znalazłem w piwnicy pudełko ze zbiorami rodziców z czasów, kiedy to oni jeździli regularnie w góry. Było tam dużo ciekawych rzeczy. Stare przewodniki, odznaki z różnych rajdów, kilka skryptów (w tym SKG-owy skrypt z architektury) i śpiewniki. Wszystkie starsze niż ja. Jednak, kiedy je przeglądałem, spotkałem mnóstwo znajomych tekstów. Okazało się, że wiele z piosenek, które obecnie są śpiewane w górach oraz kregach około górskich ma ponad 30 lat.

Dzieje piosenki turystycznej, nie tylko górskiej, są związane z festiwalami i przeglądami piosenki turystycznej i górskiej. Chciałbym wymienić kilka nazw festiwali, które wciąż się odbywają: Ogólnopolska Turystyczna Giełda

Piosenki Studenckiej (od 1968), Bazuna (od 1971), YAPA (od 1974). Z tymi festiwalami związana jest historia takich zespołów jak Stare Dobre Małżeństwo, Wolna Grupa Bukowina (założona na Gieldzie), Dom o Zielonych Progach i wiele innych.

Niedawno dostałem nagrania z Bazun w latach 1971-1980. Usłyszałem na nich wiele świetnych piosenek, ale jedna od razu zwróciła moją uwagę. Była to piosenka pod tytułem „Rajd dookoła świata” w wykonaniu zespołu *GRUPA BI*. Została ona wyróżniona na przeglądzie w 1976 roku. Chciałem się nią podzielić, bo już po kilku pierwszych wersach przypomniał mi się kurs. Poniżej przytaczam jej słowa i chwytły znalezione w starym śpiewniku:

Mokro w butach, ciemno w lesie,	d
Diabli wiedzą, gdzie nas niesie.	C
Wszystko śpi na całej ziemi,	F
A my jeszcze się wlecemy,	g d
Bo dla nas frajda to, kiedy	c
Plecak ciężki jak cholera	g d
W lewym bucie coś uwiera,	C
Coraz bardziej cięży ziemia,	F
Manko w spaniu i w kieszeniach, lecz	g d
wiesz, że żyjesz i w tym cała rzecz.	C d

Rusza rajd dookoła świata,	F C
Więc i ty z nami chodź, z nami chodź.	g F C
Rusza rajd dookoła świata,	F C
Więc i ty gotów bądź, gotów bądź, gotów bądź.	g F C

Wyruszamy zwiedzać kraje,
Poznać ludzi, obyczaje.
Z wielkim kosztem pójść na grzyby.
Spoić winem wieloryby, bo
Dla nas frajda to, kiedy
Wodza Indian uczysz dżudo,
Dwóch gangsterów łapiesz z trudem,
Przez Atlantyk płyniesz stopem,
W marszu zwiedzasz Europę i
Jesteś w domu za kilka dni.

Rusza rajd dookoła świata...

Gdy już ziemie obejdziemy,
Przy ognisku usiądziemy.
Przez polanę śmignie zając
Śmiesznie ucha nadstawiając to -.
To poczujesz, że znowu,
Gdzieś znów za tydzień w Polskę ruszysz.
W bagno wpadniesz aż po uszy.
Z żubrem weźmiesz się za bary,
W sianie zgubisz okulary, lecz -
Jesteś w domu, w tym cała rzecz.

Rusza rajd dookoła świata

Perła Skryta w Mule

Grzegorz Kaczmarek

Pewnego listopadowego dnia grzebałem w zasobach klubowej biblioteki. Szukałem materiałów o dziejach Bieszczadów i ziem sąsiednich. Znalazłem kilka ciekawych pozycji i miałem już się zwinąć, gdy przypadkiem natrafiłem na małą, szarawą i przyblakłą ze starości książeczkę. Gdy spostrzegłem tytuł "Notatnik Bieszczadzki", pomyślałem, że to jakieś wspomnienia. Jednakże gdy przyjrzałem się jej zawartości, okazało się, że jest to zbiór wierszy pana Tadeusza Olszańskiego. Kojarzyłem go do tej pory jako prawnika, politologa, publicystę oraz autora popularnonaukowych i naukowych prac historycznych ale... poeta?

Nie, to nie możliwe, przecież to do niego zupełnie nie pasuje! A jednak!

Okazało się, że w roku 1985, wraz z Krystyną Bednarek, Robertem Matejką i Joanną Olech, Tadeusz Olszański wydał zbiór swoich wierszy powstałych prawdopodobnie w końcu lat siedemdziesiątych i pierwszej połowie osiemdziesiątych. Zawiera on kilkadziesiąt utworów, kilka ry-

sunków oraz mapę prezentującą miejsca opiewane przez autora.

Tak jak spośród gwiazd na nocnym bieszczadzkim niebie trudno wskazać najpiękniejszą, tak i wybranie tego "jedyne" tekstu było niełatwe. Mam nadzieję, że po jego przeczytaniu z ochotą sięgniecie po "Notatnik Bieszczadzki".

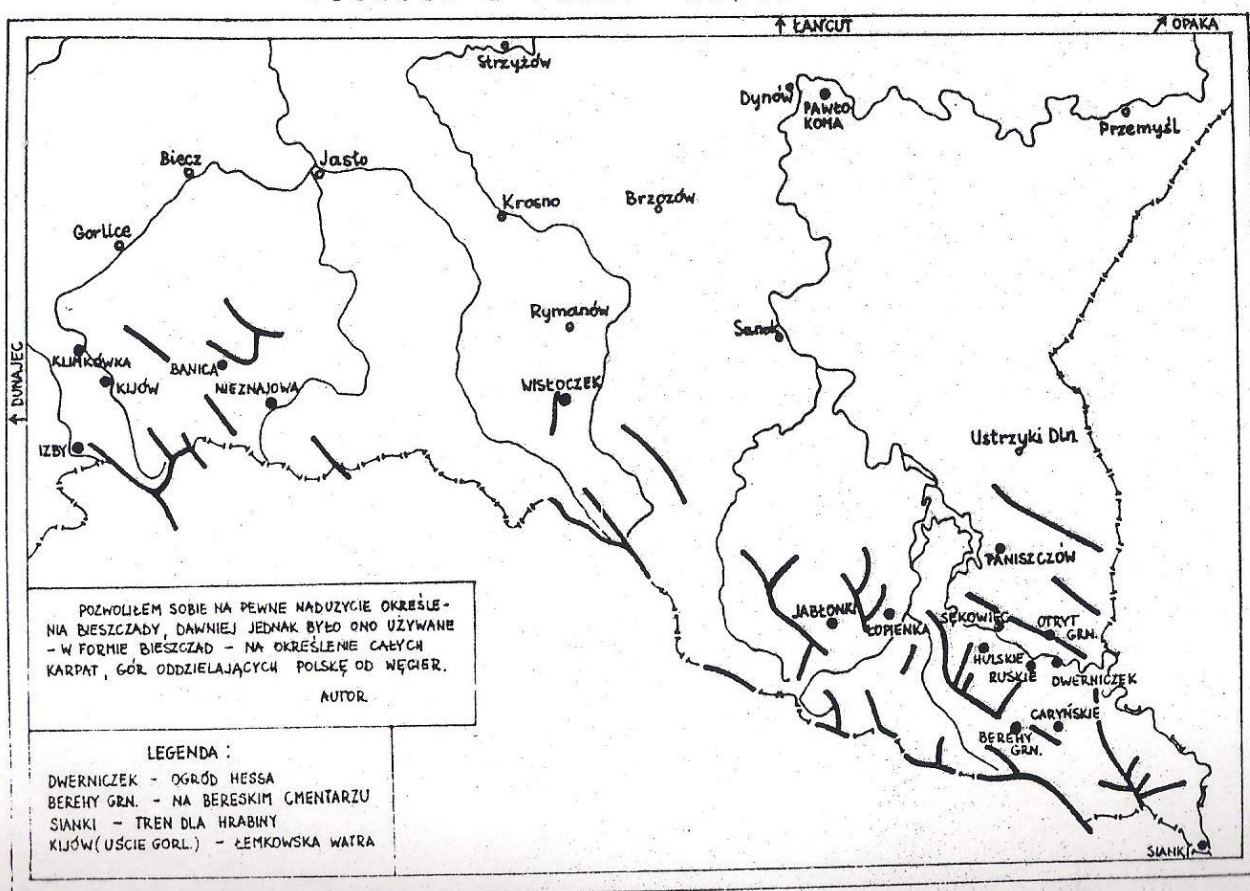
Na Bereskim Cmentarzu

*Pokrzywom oddany pod straż,
malin barwiony krwią,
mchem oddycha piaskowiec
pod ciężkim stropem drzew.*

*Któryś jest panem pokrzyw,
ich wierny trud nagrodzisz;
Któryś i mchom dał życie -
przebacz umarłym i żywym.*



W I E R S Z E Z T R A S Y m a p k a



Tworząc **Kącik Literacki** pragnęliśmy dać pole do popisu nie tylko członkom naszego zespołu redakcyjnego, ale przede wszystkim osobom, które chciałyby zaprezentować swoje opowiadania czy inne formy literackie. Zgłaszać się mogą wszyscy niezależnie od tego czy są członkami bądź sympatykami klubu. Dział stoi otworem również, a może przede wszystkim ;), dla naszych dzielnych kursantów. Zachęcamy wszystkich do wysyłania nam swoich tekstów. Naprawdę warto!

Miły Czytelniku!

Opowiadania, które będziesz czytać powstały na kanwie dwóch epizodów zimowego wyjazdu 33 Kursu Przewodników Górskich w Beskidzie Niskim. Pierwsze z nich opowiada o brawurowej kradzieży kielbasy we wsi Krępna. Drugie zaś rozgrywa się na cmentarzu z wojennym z Pierwszej Wojny Światowej na górze Rotunda gdzie, niczym duch, z gęstej jak mleko mgły, wyłonił się nasz kolega przybyły z Warszawy. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił i z chęcią sięgniesz po następne moje dzieła, które ukazywać się będą cyklicznie w kolejnych numerach Biuletynu.

Baniak i Puszek

czyli jak zdobyć kielbasę

Laborec

Było pochmurno, Baniak właśnie wyszedł z budy i zaczął rozglądać się wokoło. Podbiegł ku drodze, rzucił spojrzenie na rysujące się na horyzoncie za cerkwią góry. Obwąchał przydrożny słup. Parsknął z niezadowolonym wyczuwszy zapach Skarpety, czworonoga sąsiadów uporczywie uzurpującego sobie prawo do jego terytorium. Niech tylko mi się napatoczy, a dam mu taką nauczkę, że na sam mój widok będzie podwijał ogon pod siebie!

Ciężkie jest życie psa sołtysa, jest ten prestiż i ma się największy areal spośród wszystkich psów w okolicy, ale ciągle trzeba mieć się na baczności, bo konkurencja nie śpi. Dobrze, że mogę się wygadać mojemu najlepszemu przyjacielowi Puskowi. Chociaż jest kotem to przyzwoity gość, jego rady nie raz okazały się zbawienne. Ten biały czarny kocur jest jedynym stworzeniem, któremu całkowicie ufam, no może za wyjątkiem mego pana.

Przejdę się trochę, bo już nie mogę patrzeć na te pomije z chlebem w mojej misce.

O! z lasu nad cerkwią wychodzą jacyś ludzie. Strasznie śmiesznie wyglądają z tymi garbami na plecach. Zaraz co oni robią, podchodzą do koryta naszych krasul. Ależ się nim podniecają!

Zrzucają z siebie ubrania jakby ich mrówki oblażyły i fotografują się z jakąś szmatką. Ciekawe że, rozebrała się tylko połowa z nich.

– Ojej, Puszeku skąd się tu wzięłeś, musisz mnie zawsze tak straszyć!

– Przepraszam ale jestem kotem i ciche stąpanie jest u mnie naturalne jak twoje merdanie ogonem na widok kielbasy.

– Ach, kielbasa! Wiele bym dał, by dostać w swe łapy choć plasterek!

– Rusz głową Baniak! Przecież to może być niepowtarzalna okazja!

– Jak to? Ci wariaci z garbami?

– Zapomniałeś już jak wiosną przywędrowała tu podobna grupa?

– Mieli kanapki z Krakowską. Mmm, Krakowska!

– Trzeba tylko poczekać na dogodny moment.

Szajbusy odeszły w końcu od wanny i przebywszy nagie brunatne pole stanęły pod świątynią. Kilku z nich rozeszło się po domach. Jeden poszedł do domu sołtysa. Facet z okularami na nosie gada z sołtysiem. Puskowi aż błysnęły z radości rysie oczka.

– Coś się kroi Baniak, mówię ci! Podejdźmy bliżej cerkwi.

– Czuję kielbasę!!! Muszę ją mieć!!!

– Spokojnie Baniak, poczekajmy jeszcze moment. Idzie syn naszego właściciela, ma w ręku klucze.

– Będą wchodzić do środka! To nasza szansa!

– Jak to nasza!

– No chyba odpalisz mi trochę tłuszczu po starej znajomości. Puszek przeciągnął się i poruszył wąsami wyczekując odpowiedzi Baniaka, który rozważając sytuację w swym wielkim białym brązowym łbie z wolna merdał ogonem.

– Dobra, odstąpię ci nieco spyrki, ale pod warunkiem, że potem ich czymś zajmiesz.

– Zgoda.

Tłumek nawiedzonych przybyszy wszedł do środka i zaczęły się poszukiwania.

Baniak w miarę zbliżania się do tobołów porzuconych przed cerkwią czuł coraz wyraźniejszy zapach mięsa. W końcu zorientował się, że znajduje się ono przy plecaku opartym o ścianę dzwonnicy. Pacnął łapą pakunek i poczuł pokaźne pęto kielbasy. Towarzyszący mu Puszek zorientował się, że kłapa jest niedopięta i jednym zręcznym ruchem wygarnął olbrzymią Sokołowską. Baniak błyskawicznie ujął ją w pysk i popędził przed siebie. Zbiegłszy po schodkach przeleciał przez drogę i skręcił w lewo ku swojej budzie, gdzie podzielił się łupem z Puskim. Kielbasa była wyborna, o niebo lepsza od Krakowskiej, którą poczęstowano go wiosną. Puszek wciął spyrkę aż mu się uszy trzęsły.

Jako istoty przewidujące i poważni biznesmeni Puszek i Baniak ukryli część zapasów w sobie tylko znanych miejscach, by następnie oddać się sjeście w promieniach popołudniowego słońca.

Słodkie lenistwo przerwała hałaśliwa grupa wariatów, którzy wyszli z cerkwi i po niewczasie spostrzegli brak kielbasy. Ruszyli pod dom sołtysa, zapukali do drzwi i zaczęli rozmawiać z gospodynią. Zanosilo się, że zabawią tu dłużej.

– Do boju mój mruczystawie!

– Już już, tylko obliżę sobie pyszczek i futerko. W końcu trzeba się dobrze zaprezentować.

– No nie ociągaj się!

– Co nagle to po diable. Dziadzius Pimpus mówił, że przy takich okazjach powinno się założyć muszkę.

– Lepiej nie kombinuj, bo skończysz jak twój wuj Mysobór, co go zagłaskali na śmierć.

Na wspomnienie nieszczęsnego krewniaka Puszek aż się wzdrygnął i w zamyśleniu pokiwał łebkiem. Wziął porządną wdech i ruszył ku grupce intruzów. Zaczął się kręcić między ich nogami wiedząc, że przy tym wietrzysku ktoś w końcu weźmie go w ramiona.

I rzeczywiście nie omylił się, krępy gość z czarnymi zmierzwionymi włosami porwał go z ziemi i położył na ręce. Był to początek łańcucha pieśczęt przerywanego komendą „podaj kota”.

Po godzinie Puszek ledwo się trzymał i zaczął miauczeć żałośnie. Baniak kręcąc się między obcymi starał się zrobić co tylko mógł, by ulżyć towarzyszowi. Niestety na niewiele się to zdało i gdyby wędrowcy posiedzieli jeszcze z godzinę, to Puszek dołączyłby do Pimpusia w krainie wiecznych łowów.

– Uff! Pod koniec myślałem, że wysiądę; jak oni capili!

– Było aż tak źle?

– Tak, już dawno nie czułem takiego zapachu.

– No chyba, że pominąć Cyklopa, którego parę dni temu spławiłeś w wychodku.

– Zasłużył sobie na to, bo ukradł mi mysz, którą zachomikowałem pod tują przed naszym domem.

– Swoją drogą, ciekawe co te świry tu robiły?

– Pewnie tam, gdzie mieszkali, skończyło się jedzenie.

– Naprawdę musiało ich nieźle przycisnąć, że włóczę się tu zimą i to w taką pogodę

– Za ludźmi nie trafisz, mają tyle dziwnych zwyczajów, weźmy chodźmy te szamanizmy, które odprawiali nad wanną.

– Tak tak, ja też czasem pukam się głowę, gdy widzę co oni wyprawiają. . .

Zatopieni w rozważaniach i podnieceni obfitością łupu, jaki wpadł im w łapy, Puszek i Baniak długo nie mogli zasnąć tej nocy. Tymczasem szajbusy opuściwszy Konieczną pomaszerowały dalej przez ciemny las, zastanawiając się jak to się mogło stać, że stracili kawał apetycznej kiełbasy. Zaczynali już odczuwać zmęczenie trwającą już od kilku dni wyprawą i marzyli o ciepłym kącie, prysznicu i schaboszczaku. Czekali ich jeszcze niemało przygód i gotów do przejścia. . .



Porta Rusica

Część pierwsza: Rotunda

Laborec

Pełnia. Czarne łapy jodeł kołysane lodowatym wiatrem falują na tle atramentowego nieba. Na usianym gwiazdami nieboskłonem niczym cesarz na tronie rozsiadł się błądy księżyc przeglądający się w powoli zamarzającej kałuży. Między drzewami przemknął spłoszony lis. Nie wiedzieć czemu gna przed siebie jak opętany zupełnie tak jak by za czym prędzej chciał opuścić Rotundę. Przerażone gryzonie zaszywają się w najgłębszych zakątkach swych norek. Szaro biała sowa wystawia łeb z dziupli i mrużąc swe wielkie żółte wyłupiaste oczy spokojnie, jak by od niechcenia rozgląda się na boki. Gramoli się ze swego legowiska, siada na gałęzi młodego buka i czeka. . .

Nadchodzi północ, sowa zaczyna pohukiwać. Wiatr przybiera na sile, a niebo zasnuwa się chmurami. Coś zaczyna się dziać na cmentarzu. Czuć delikatne drżenie ziemi, spod krzyży i wież zaczyna unosić się dziwna żółtawa mgła. Słyszać ciche westchnienia. To budzą się ze snu mieszkańcy wojennej nekropoli. Blade postacie są przeraźliwie chude, obwieszane strzępami umundurowania, spod którego wyłaniają się ich zmasakrowane korpusy kończyny i oblicza. Wolno suną ku cmentarnej bramie chłopcy z Młada Boleslav, Kromieryża, Bressanone, Trentu, Innsbrucku, Salzburga, Wiednia i Wiatki. Słyszać szuranie rozwalających się wojskowych butów. Umrzyki zatrzymują się opodal kamiennego ogrodzenia cmentarza.

Jednooki Josef Košík kiwa głową na swego przyjaciela Franza Srbka. Zginęli od jednej serii karabinu maszynowego 16 marca 1915 roku i od tej pory każdej pełni schodzą się na pogawędkę. Jednak nie wszyscy witają się tu przyjaźnie Piotr Ogórcow i Jefim Miedwiedjew kłócą się nawet w życiu pozagrobowym. Wygrażają sobie kikutami

rąk i obrzucają wyzwiskami. Jefim pała niegasnącą nienawiścią bo Piotr odwiódł go od poddania się Austriakom. Gdyby zrobili to wspólnie, jak proponował Miedwiedjew nie zginęli by w ostatnim ataku 193 Swijażskiego Pułku Piechoty na Jaworzynkę.

Anton Vogl z wielkim spiczastym odłamkiem tkwiącym w szyi jak zwykle siedzi samotny pod drzewem, na froncie w Karpatach stronił od towarzystwa. Przez całą kampanię w Galicji z nikim się nie zaprzyjaźnił. Miał jakąś mroczną tajemnicę, która zżerała go od środka. Nikt nigdy nie poznał prawdy, rażony pociskiem artyleryjskim Vogl zabrał ją ze sobą do grobu.

Żołnierze habsburskiego cesarza zebrali się wokół swojego dowódcy porucznika Karla Rajnera. Ten niewysoki krępy mężczyzna z bagnetem wystającym między zębami nawet teraz ma u swoich ludzi olbrzymi autorytet. Na wojnie stronił od wygodnego życia za linią frontu. Spał, jadł i bił się jak prosty żołnierz. Zawsze prowadził swoich ludzi do ataku biegnąc kilka metrów z przodu. Ironia losu sprawiła, że zginął z ręki własnego człowieka, Oskara Kircha który w ciemnościach wziął go za Rosjanina i zakuł na śmierć.

To właśnie jego potępięcze jęki i mrozące krew w żyłach wycie dobiegają z głębi lasu. Kirch nie potrafił poradzić sobie z dręczącym go poczuciem winy i powiesił się pewnej kwietniowej nocy. Do tej pory nie śmie się pokazywać na oczy swym towarzyszom broni.

Ludzie Rajnera i ich przeciwnicy przybyli tu z głębi Imperium Rosyjskiego tęskniąc do domów.

Zostawili w nich wszystko co kochali i wiele by dali by w swoim czasie, jak to określił starszy szeregowy Tomáš Pokuta, te przekłete gównojady ze sztabu froterujące

tyłkami kanapy wiedeńskich salonów skończyły z tymi wygłupami.

Kawalarz Pokuta za życia uwielbiał płać figle. Za swój popisowy numer z pułapką na myszy jeszcze w Mlada Boleslav kapitan Rudolf Stieglitz zapuszkował go na dwa tygodnie. Jako duch nie zmienił swojego usposobienia. Uwielbia straszyć mieszkańców okolicznych wsi a osobliwie młode mężatki, do których zawsze miał słabość...

Sowa przez cały czas nie ruszyła się z miejsca i obserwuje upiory, które nie śmieją jej przepędzać. Wyczuwają, że ma w sobie jakąś nadprzyrodzoną siłę. Nawet figlarny Pokuta nigdy nie próbował jej zaczepiać. Nie jest to zwykły ptak. Zdradza to złoty pierścień na jednym ze szponów. Jego prawdziwą postać można ujrzeć tylko raz na ćwierć wieku, w czasie pierwszej w roku pełni. Przybiera wtedy ludzkie kształty i przemawia do gwiazd w języku, który porucznikowi Rajnerowi przypomina węgierski.

Skąd się tu wziął i co tu robi nawet najodważniejszy ze wszystkich Rajner bał się pomyśleć. Kiedyś zaciekawiony jego dziwnym ubiorem zbliżył się do tego dziwadła i próbował porozumieć się w swoim ojczystym języku. Tajemnicza istota zareagowała na dźwięki germańskiej mowy z taką wściekłością, że nigdy zaczął ją omijać szerokim łukiem. Widocznie językiem niemiecki kojarzył się, Ptasznikowi jak żołnierze nazywali indywiduum, z czymś bardzo nieprzyjemnym.

Porucznik nawet nie zdawał sobie sprawy z tajemnicy jaką kryła kronika miasta Munkacz oraz

roli jaką jego przodek odegrał w wydarzeniach opisanych jej kartach. Wiele lat przed narodzeniem jego cesarskiej mości Franza Josepha, gdy mapa Europy w niczym nie przypominała tej jaką Pokuta oglądał w szkole na lekcji geografii. Pobliski Regietów był stosunkowo nową osadą powstałą za sprawą starosty Jana Wielopolskiego, o którym żaden z pochowanych na cmentarzu wojennym nr. 51 z pewnością nie słyszał.

Właśnie wtedy siedzący za masywnym biurkiem umieszczonym pośrodku przepastnych archiwów miasta Munkach, siwiutki jak gołąb skryba pod rokiem 1683 zapisał: Jego wysokość książę Thököly pospieszył z wojskiem by sułtanowi Mehmedowi służyć radą i pomocą w jego pochodzie na ziemię cesarza Leopolda. Jako wasał władcy Konstantynopola i nieprzyjaciel Domu Habsburskiego wyruszył z wielką ochotą mając nadzieję władzę swą umocnić i na sąsiednie krainy rozszerzyć.

Gdy tylko książę Imre opuścił granice kraju nikczemni wrogowie odrzucili maski życzliwości i ukazali swe prawdziwe oblicze. Kierowani diabelskim podszeptem poczęli wzniecać niepokoje na ziemiach pogranicznych. Najśmielej poczynił sobie Zygmunt Druget pan Homonna, Szinny, Töketerebes i Ungváru. Za jego sprawą po zajazdach komitatów Zemplén, Ung i Bereg namnożyło się różnych podejrzanym typów. Wzrastające bezprawie sprawiło, że nikt nie ważył się opuszczać bezpiecznych murów miejskich, chyba że z większą siłą zbrojną. W okolicznych górach i lasach zaroilo się od tołhajów. Złoczyńcy ci stali się plagą tak wielką, że ruch na przełęczach Beskidu niemal zamarł. Będąc słabego zdrowia Zygmunt wyręczał się habsburskim renegatem Henrykiem Rajnerem. Ten tajemniczy człowiek, przybyły przed kilku laty, bardzo szybko stał się zaufanym pana na Ungvárze. Nie wiadano o nim

praktycznie nic. Nie było pewne i wciąż wątpliwym pozostaje nawet to, czy był tym za kogo się podawał.

Pierwszego dnia miesiąca Augustus Rajner ruszył ze swymi tołhajami na północ by złupić wioski położone za Ruską Bramą na trasie z Sanoka do Nagymihály. Na kilka miesięcy słuch po nim zaginął, myślano już że roznieśli go ludzie podkomorzego sanockiego Jana Bala ale dzień po Wszystkich Świętych pojawił się w Homonnej w towarzystwie pewnego polskiego szlachcica...

Do wschodu słońca zostało jeszcze pół godziny i żołnierze zaczęli powracać do swych cmentarnych kwater. Jak zwykle jako ostatni, w rozwiewającej się żółtawej mgłę, do podróży w krainę cienia szykował się Karl Rajner. Widząc, że wszyscy wrócili na swoje miejsca chciał uczynić to samo lecz poczuł, że jakaś potężna siła odciąga go od cmentarza i przesuwają ku młodemu bukowi, przy którym stała smukła postać w szarawarach, żupanie, deli i rysim kołpaku ozdobionym jastrzębim piórkiem. Wąsaty jegomość z podgolonym karkiem i tęgą blizną na szczęcie siłą woli uniósł Rajnera nad ziemię i rzekł: A powitać ! Długo czekałem na możliwość zamienienia kilku słów z waszmością. Cztery stulecia z górką to szmat czasu, zdążyłem się stęsknić za waszą rodziną !

Karl był przerażony i nie mógł wydusić z siebie żadnego słowa oprócz Was ?

Na ten dźwięk w oczach nieznanego zatańczyły czerwone ogniki i wydawało się, że zaraz roznieście biednego Niemca na drobne kawałki. Wąsał powstrzymał się jednak, poprawił zdobioną złotem karabelę i opuściwszy Rajnera na ziemię podsunął mu pod nos złoty pierścień z herbem Drugetów – siedmioma ptakami na tarczy. Z wyraźną niechęcią zaczął rozmowę po niemiecku.

– Wiesz asan co to jest ?

– Pierścień.

– Widzę, że się rozumiemy jak kuruc z labancem.

– He ?

– Waś chyba za długo w turmie przeleżałeś alboś przez rozum cięty !

Moja mowa będzie krótka jak negocjacje księcia Wiśniowieckiego z Kozakami – jako ostatni z

Rajnerów udasz się ze mną w podróż !

– Jaką podróż ?! Rotunda jest moim domem i nigdzie się stąd nie ruszę !

– Dosyć tego gardłowania ! To nie sejmik powiatowy ! Zaraz zapieje pierwszy kur i obaj będziemy zgubieni ! Wskakuj waszmość do szkatułki ! Czekają nas drogi do Porta Rusica !

Porucznik chciał protestować ale poczuł, że zaczyna gwałtownie maleć i grawitować ku czarnej szkatułce, która nie wiedzieć kiedy pojawiła się w dłoni Ptasznika. Po chwili było już po wszystkim i wokół zapanowała nieprzenikniony mrok.

W następnym numerze ukarze się kolejna część opowieści o rodzie Rajnerów, pod tytułem „Jak kamień w wodę”. Razem z przodkiem oficera umrzyka odbędziemy niezwykłą podróż czasie i przestrzeni do karpaccich krain pełnych barwnego folkloru i nietuzinkowych postaci. Trafimy w sam środek zmagania dawno zapomnianych imperiów wkraczających w okres wielkich przemian.

